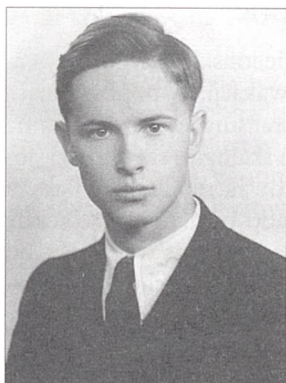


Kędzierzyn-Koźle, 2002



Jan Perkowski

Absolwent z roku akademickiego 1954/1955

WSPOMNIENIA ZE STUDIÓW. KRAKÓW 1951–1955

Serdecznym Przyjaciołom
z roku akademickiego 1951/1952 w Krakowie

W pięćdziesięciolecie pierwszych semestrów w 1951/1952 roku wspomnienia te ofiarowuję moim serdecznym Przyjaciołom ze studiów chemii w Uniwersytecie Jagiellońskim, a poświęcam pamięci mojej Matki Ireny Skarbek-Borowskiej Perkowskiej i utraconego podczas wojny Ojca Tadeusza Perkowskiego. Mojej Zonie Marii Gilewiczównie Perkowskiej najgoręcej dziękuję za wypełnione miłością lata życia po studiach, które m.in. umożliwiły mi uzyskanie doktoratu, a teraz pozwoliły skupić się, aby napisać tę relację z czasu młodości i nauki.

Mija pięćdziesiąt lat – „złoty jubileusz” naszych Przyjaźni zawiązanych w trakcie I roku studiów chemii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Mimo upływu półwiecza serce bije mi żywo, kiedy wracam pamięcią do tamtego czasu, do lat naszej młodości! Wiemy wszyscy, że był to czas ponury, a nawet straszny. Czas stalinizmu – apogeum sowieckiego, imperialnego totalitaryzmu. To właśnie wtedy rodzimi komuniści z PZPR dokonywali licznych sądowych mordów, jak np. powieszenie 24 lutego, na 10 dni przed śmiercią Stalina, szefa Kedywu AK generała Emila Augusta Fieldorfa „Nila”, masowo prześladowali i aresztowali zwykłych ludzi bądź najwybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa, z Kardynałem Stefanem Wyszyńskim na czele. Oba te tragiczne wypadki miały miejsce w samym środku naszych studiów, podczas jednego tylko 1953 roku! Wtedy o wielu tych przerażających sprawach nie wiedzieliśmy, niektórych domyślaliśmy się, część z nich była nam znana. Wszystko to mogło być sprawić, że powinniśmy byli sobie nie ufać, bać się siebie nawzajem. A jednak... Jednak tak się nie działo! I to mimo tego, że wskutek brutalnej, reżimowej indoktrynacji lub własnej słabości większość kolegów, ja niestety także, należała do ZMP. Były wyjątki! Nie należeli Staszka Buksówna, Anna Chechlińska, Jan Czapkiewicz, Alina Gilewiczówna, Marie Kolankowska i Niessnerówna, Janina Pawlikowska, Jerzy Stoczyński, Halina Stojakowska, dotkliwie szykanowana przed maturą Ewa Zajácówna...

Chyba dzięki domowym środowiskom, z których wyszliśmy, pomimo społecznego różnicowania potrafiliśmy wyczuć intuicyjnie, że możemy sobie ufać, że nie będziemy donosicielami. Pamiętam jak podczas wstępnego ogólnooorganizacyjnego spotkania całego roku, napotykając wyczuwalny w czymś psychiczny opór, partyjny asystent swoim tubalnym głosem oświadczył: „bo ja proszę towarzyszyzy czuję na tym rooku taki drobnomieszczański fetorek”... i został przez nas spontanicznie wyhukany: uuu! Już wiedzieliśmy, że w większości możemy sobie zawierzyć.

Najpierw były egzaminy wstępne

Najpierw jednak były egzaminy wstępne na Uniwersytet Jagielloński. Przygotowywałem się do nich podczas spędzanych w Olkuszu pomaturalnych wakacji. W poprzedzającą termin pierwszego egzaminu piękną niedzielę 26 sierpnia, wybraliśmy się z moją Mamą na pobliską ruinę zamku w Rabsztynie. Siedząc na wypiętrzeniu skalnym, szczytowej pozostałej po wieży części zwaliska, na pogodnym niebie obserwowaliśmy krążące bardzo wysoko nad nami wielkie, liczące około czterdziestu sztuk, stado bocianów. Dołączały do niego mniejsze grupy ptaków. Była to zbiórka bocianów przed jesienną wędrówką do Afryki. W pewnym momencie wzniosły się jeszcze wyżej, skierowały na zachód i odleciały... Ja także wtedy w jakiś sposób odlatywałem w niewiadome, dorosłe życie!

Pisemny egzamin na wybrany kierunek studiów odbył się we wtorek 28 sierpnia 1951 roku. Na chemię starało się wiele osób. Znalazłem się w grupie zdających w wielkiej sali wykładowej w budynku Wydziału Fizyki UJ. Podchodząc do Collegium Witkowskiego, na widok wystrojonej w ZMP-owski uniform – granatową spódnicę i białą bluzkę z jaskrawoczerwonym krawatem – współkandydatkę (była nią Iwona Parcińska), mocno się zdenerwowałem. Wskazywało to, że o przyjęciach będą decydować, co najmniej znacząco tzw. sprawy polityczne. Egzamin otworzył siwy, starszy profesor, a obecnej na sali komisji przewodniczyła poważna, jednocześnie sprawiająca wrażenie surowej, ale i życzliwej dobroci kobieta. Była nią pani docent doktor Jadwiga Schönówna z Katedry Chemii Organicznej.

Potem istotnie egzaminowano nas ideologicznie z jakichś podstaw marksizmu-leninizmu i komunistycznie interpretowanej politycznej wiedzy o Polsce i świecie. Widać wszystkie egzaminy zdałem, przynależność do ZMP pomogła, niekoniecznie wiadome czynnikom politycznym pochodzenie społeczne nie przeszkodziło i 21 września zostałem wpisany jako student w księdze immatrykulacyjnej uniwersytetu wraz z ponad stu dziesięcioma przyjętymi na studia chemii kandydatami.

Niektórzy z nas „odium” zetempowskiej nieprzynależności niwelowali naprawdę wielkim wysiłkiem. Na przykład Jan Czapkiewicz przed egzaminami wstępnymi na studia przedłożył komisji rekrutacyjnej dyplom przodownika pracy, otrzymany po maturze w tzw. hufcach pracy Służby Polsce. Oto jego relacja jak ten dyplom uzyskał: „Bezpośrednio po maturze w Wieliczce zostałem ‘wcielony’ do Brygady SP. Pracowaliśmy w Stoczni Gdańskiej. Bywało, że dostawaliśmy raszple oraz stalowe szczotki i drapaliśmy w suchych dokach dna statków. Byliśmy brązowi od rdzy, minii i innych powłok ochronnych. O tzw. bhp nie było mowy. Pracowaliśmy bez ochrony przeciwpyłowej, tylko na drugie śniadanie dostawaliśmy szklankę mleka. Pod koniec turnusu dowództwo hufca powiadomiło tzw. aktyw młodzieżowy, że jest siedem dyplomów dla przodowników pracy. Junaków było kilkuset. Aktyw podjął decyzję, która mnie wzrusza po dziś dzień. Powiedzieli «dyplomy dajmy tym, którzy idą na studia. To im się przysła!» Junacy pochodzili z Wieliczki i okolic. Z tej licznej grupy tylko siedmiu wybierało się studiować. Znalazłem się wśród tych wyróżnionych. Wszyscy ci ‘przodownicy’ zostali oczywiście na studia przyjęci. Bardzo jestem wdzięczny tym prostym, bezinteresownym i życzliwym chłopcom z aktywu”. Faceta z takim dyplomem, mimo że politycznie był podejrzany, jednak nie można było nie przyjąć!!!

Innym mocno pomagało właściwe pochodzenie społeczne. W poniedziałek 1 października w westybulu Collegium Novum zawisnął wielki transparent z napisem: „Witamy koleżankę Dick – córkę przodownika pracy w Nowej Hucie”. Była jedną z na-

szych koleżanek na I roku chemii. Pod względem społecznym stanowiliśmy zbiór bardzo zróżnicowany, także o znacznej rozpiętości wieku. Dominowały roczniki urodzenia 1932–1934, ale była też koleżanka urodzona pod koniec 1935 roku. Mieliśmy także mocno starszych, ponadtrzydziestoletnich kolegów. Było to wynikiem spowodowanych przez wojnę opóźnień w kształceniu, a być może także rekrutacją starszych, pracujących osób z przemysłu, zgodnie z doktryną awansu społecznego i dla potrzeb tworzenia socjalistycznej kadry kierowniczej.

Pierwsze wykłady i ćwiczenia

Studia rozpoczął inauguracyjny wykład chemii nieorganicznej, widzianego już na egzaminie wstępnym, przybyłego z Politechniki Lwowskiej, niezapomnianego Profesora Wiktora Jakóba. W mieszczącym się w Collegium Chemicum audytorium, nad którym, rzec by można, unosił się jeszcze duch Karola Olszewskiego, prof. Jakób wprowadzał nas swoimi wykładami w świat chemii, urozmaicany słynnymi „jakóbkami” i ilustrowany świetnymi metodycznie, doświadczalnymi demonstracjami. Tematem pierwszego wykładu były pojęcia substancji i związku chemicznego. Matematyki uczył nas, w bardzo przejrzystość prowadzonych wykładach, prof. Świętosław Romanowski. A coś dopiero mówić o olśniewających wykładach fizyki doświadczalnej, wygłaszanych po mistrzowsku, ze wspaniałymi eksperymentalnymi pokazami, przez bardzo młodego profesora Jerzego Janika w audytorium Collegium Witkowskiego. Demonstracje doświadczalne przeprowadzali dwaj asystenci, Oleg Czyżewski i Kazimierz Grotowski. Przeżywane emocje osobistej radości i fascynacji wykładanym przedmiotem profesor wyrażał niekiedy frazą „...proszę państwa, tak, no bo tak...”. Chodziły wśród nas słuchy, że dr Janik przygotowuje się do każdego wykładu, wygłaszając go przed lustrem aż do osiągnięcia wymaganej przez siebie biegłości. Mający doskonałe poczucie humoru profesor, swoje wykłady dopełniał także wiadomościami o zdarzeniach, pełniących w rozwoju fizyki rolę kamieni milowych. Między innymi opowiedział nam, że chyba Max Planck, zainspirowany bodaj udziałem w jakiejś konferencji, opracował w powrotnej drodze i przestał do któregoś z jej uczestników – „...tęgich jak sam fizyków” [Ludwik Wertenstein, Ballada o IV Zjeździe Fizyków Polskich w Wilnie w roku 1928], po prostu na kartce pocztowej wzór opisujący promieniowanie ciała doskonale czarnego, dając początek fizyce kwantowej.

Ćwiczeniami z jakościowej chemii analitycznej kierował opiekun naszego roku doktor Antoni Pasternak, współautor świetnych *Tablic analizy jakościowej*, także i doktor Zdzisław Wojtaszek, a prowadzili je asystenci, magistrowie Edward Cholewa, Jerzy Dumański, Mieczysław Dyrek, Adam Krawiec, Mieczysław Łojek, Maria Ogorzałek, Tadeusz Senkowski, Krystyna Warchałowska i Eugeniusz Weźranowski. Dwoje z nich pp. Maria Ogorzałek i Edward Cholewa – wspaniały dydaktyk, w kilka lat potem przedwcześnie zmarło. Ten zespół pedagogów zapamiętałem najlepiej, zapewne dlatego że byli to nasi pierwsi nauczyciele akademicki, którzy potem uczyli nas jeszcze nieorganicznej analizy ilościowej. Byli więc naszymi preceptorami przez dwa lata. Warunki środowiskowe panujące w salach ćwiczeń często uragały podstawowym wymogom bhp, a my, ucząc się, uprawialiśmy także niekiedy „paralizę”, czyli parodię analizy. Tak się złożyło, że ulokowano mnie w pracowni nie na głównej sali, lecz w bocznym niewielkim pokoju – jednego z pięcioma koleżankami. Były to: Ala Matraszkówna, Maria Sajdakówna,

Halina Stojakowska, zamężna już Hanka Kopecka-Tombińska i Maria Ziajanka. Jeden chłopak na tyle dziewczyn! Toteż bywało, że wśród nich trochę szalałem z młodzieńczą, właściwie chłopięcą jeszcze – miałem 17 lat, buńczuczną wesołością. Aż się ściany trzęsły. Po drugiej stronie, w pokoju asystentów ustawione były na regale przy tej ścianie wielkie butle z roztworami związków, z których komponowano dla nas zadania do ćwiczeń z analizy. Raz z tego pokoju przybiegł nawet mgr Łojek, aby mnie, serdecznie zresztą, zmitygować, niemal dosłownie „zlituj się waćpan i szalej mniej nieco, bo mi za ścianą butle z półek zlecą”. Dzisiaj naprawdę nie pamiętam, co też ja tam z tymi moimi koleżankami wyprawiałem. Na pewno nic zbereźnego. Raczej było to, wspierając się znów Fredrą, coś w rodzaju: „To pies, to zając między stoły, stolki gonił, uciekał, wywracał koziołki”.

Obok, w znajdującej się na parterze Collegium Chemicum przy ul. Olszewskiego, długiej sali laboratorium I Zakładu Chemii wykonywało analityczne ćwiczenia wielu moich przyjaciół, należących do „przodującej grupy magistra Dyrka”, jak w czasach Pstrowskiego samozwańczo się nazywali. Byli w niej m.in. Jaś Czapkiewicz, Andrzej „Czarny Kot” Fuliński, jowialny Adaś Hamerski i Adam Sekułowicz ze Śląska, milczący Maniek Kegel, Janka Pawlikowska i inne koleżanki, pracowicie wykrywający kationy dla siebie i koleżanek Jurek Słoczyński, Boguś Śliwa z doskonałym wyczuciem sytuacyjnego komizmu, był też ponurawy Rysiek Sitko i rudy Stefan Wiktor. Jednej z naszych koleżanek przydarzyła się raz znajomienna, lingwistyczna przygoda. Wyszła z asystenckiego pokoju z pokolokwialnymi wypiekami na policzkach i oświadczyła wszem i wobec: „ale mnie s...lili”. Po prostu nie uświadamiała sobie znaczenia słowa. Ten „lapsus” stanowi piękny przykład tego, że wtedy jeszcze nie miało miejsca i w ogóle było nie do pomyślenia publiczne, rozpowszechnione obecnie schamienie językowe. Więc nic dziwnego, że przychodzące często z wyłącznie żeńskich szkół dziewczyny, nawet często nie rozumiały paskudnych wyrażeń. Dzisiaj wydaje się słowniki przekleństw i wulgaryzmów, a także niestety rozpowszechnia się je nawet ze scen teatralnych!

Zespoły koleżeńskie i przyjazne domy rodzinne

W środowisku naszego roku studiów powstawały nieformalne grupy kolegów – przyjaciół. Zapamiętałem trzy z nich. Więc był „Klub Kotów”, którego duszą był Andrzej Fuliński wraz z Andrzejem Barańskim z Wilna, krakowianinem Staszkiem Kuśmierczykiem oraz koleżankami – wspaniałymi dziewczynami Aliną Kosińską, Marysią Rasticą i Zosią Wilczewską. Jego członkowie, dla ogółu niezauważalnymi sposobami, zwąchali wspólną namiętność do gry w brydża i klub temu głównie służył. Była to wówczas czynność ideologicznie wysoce niewłaściwa. Dlatego się z tym nie obnosili, gdyż można było mieć kłopoty. Ale już po studiach, w 1955 albo w 1956 roku, „Koty” dzięki temu grały jeden z pierwszych meczów brydżowych w Krakowie. W kocim klubie, zwłaszcza Marysia Rastica i Andrzej Fuliński ujawniali zdolności literackie, które już niebawem dały o sobie znać. Potem twórczość literacka ustała. Do grupy „Kawalerów” należeli Jurek Słoczyński, Boguś Śliwa, Jaś Czapkiewicz, Adamowie Hamerski i Sekułowicz, Marian Kegel, autor tych wspomnień i jako sympatycy Aleksander Szczodry i Ryszard Sitko. Mianowanie nas kawalerami wynikło stąd, że nie mieliśmy, tak jak Koty, stałych koleżanek. Zespół miłych dziewczyn, a morowych koleżanek, nazwaliśmy dla

równowagi klubem „Ciotek”. Należały do niego zgrupowane wokół krakowianek Janci Pawlikowskiej i Ewki Zającowny przyjaciółki Zosia Starkówna, Hanka Lotzówna i trochę luźniej z nimi związane Marysia Niessnerówna oraz Basia Stasiakówna. Kawalerowie i Ciotki stanowili partnerskie zespoły. Przyjaźniliśmy się zresztą wszyscy. Niektórzy mieli na miejscu domy rodzinne, serdecznie otwierane przed przybyszami spoza Krakowa. Takimi domami były domy pp. Pawlikowskich, Zająców i pani Marii Słoczyńskiej.

Dom studencki i warunki bytowe

W październiku 1951 roku zamieszkałem w położonym obok krakowskich Błoni II Domu Akademickim w pokoju 309 o powierzchni 12 m² z piętrowymi łózkami. Było nas czterech: Henryk Chojnacki, Stefan Michałek, Roman Styśło i ja. Heniek pochodził z rodziny rolniczej z Komorowa w powiecie buskim na Kielecczyźnie. Jego Liceum im. Stefana Żeromskiego w Kielcach musiało stać na wysokim poziomie, bo był dobrze do studiów przygotowany, a ponadto bardzo zdolny i pracowity. Na I roku byliśmy w jednej grupie i na ćwiczeniach z fizyki stanowiliśmy dydaktyczną dwójkę, więc też serdecznie się zaprzyjaźniliśmy, co trwa do dzisiaj. Stefan był pólsierotą po zaginionym bez wieści we wrześniu 1939 roku, więc z pewnością poległym, polskim oficerze; jego matka mieszkała dość daleko, na ówczesnie tzw. Ziemiach Odzyskanych. Roman pochodził gdzieś ze wschodu z prostej rodziny, zapewne przynajmniej częściowo ukraińskiej proveniencji. Był od nas starszy i miał bardzo silną wadę wzroku, fatalne krótkowidztwo. Był partyjnym, przekonany, wierzącym komunistą. W rozmowach ujawniał oczywiste polityczne przeszkolenie, stawiające sowiecką, imperialną doktrynę ponad wszystko. Mnie naprawdę imponował żelaznym uporem, z jakim mimo kalectwa i słabego przygotowania uczył się, być może wypełniając także otrzymane partyjne polecenie. Przez całe studia pozostał tzw. aktywistą i pod koniec, na wiosnę 1955 roku, próbował nakłonić mnie do zapisania się do partii.

Warunki studiów – biednie i ciasno, a w czasie I roku także i często głodno. Utrzymywaliśmy się głównie ze stypendium, a obiady w stołówce po 2,10 zł stanowiły podstawę naszego wyżywienia. Mięso i nabiał kupowaliśmy w bardzo ograniczonych ilościach i w wyznaczonych sklepach na przydzielane bony, zwane tak dlatego, aby nie kojarzyły się z żywnościowymi kartkami niemieckiej okupacji. W I terciale 1952 roku, oprócz stołwkowych obiadów, żywiłem się głównie chlebem i gorzką herbatą. Z utrudniającą uczenie się ciasnotą w naszym mieszkalnym pokoju po części radziłem sobie, chodząc do czynnej nawet w niedziele, publicznej czytelnicy w pobliskim, nowym gmachu Biblioteki Jagiellońskiej. Czytelnia była wielka i wyposażona w indywidualne, komfortowe stoliki z lampami, a nadzorowana przez wymagające ścisłego przestrzegania regulaminu, wykwalifikowane bibliotekarki. W dni powszednie czytelnia była otwarta wieczorem do godziny 20. Stwarzała rzeczywiście bardzo dobre warunki do nauki. Dlatego korzystało z niej bardzo wielu studentów i niekiedy trzeba było czekać nawet blisko godzinę na zwolnienie się miejsca. W czytelni, w lutym 1952 roku poznałem koleżankę z III roku chemii Halinę Dyrzównę. Po zakończeniu nauki wielokrotnie odprowadzałem ją wieczorami przez zimowy Park Krakowski pod dom na rogu ul. Sienkiewicza i pl. Inwalidów (Wolności), w którym mieszkała na stacji. Jak napisał Tetmajer „między nami nic nie było, prócz wiosennych marzeń zdradnych”, a wywołana jej kobiecym urokiem przyjaźń przetrwała pół wieku.

Moja Matka

Moja Matka tylko w małym stopniu mogła finansować moje studia.

Mieszkała w Olkuszu w wielkiej biedzie, w trudnych dzisiaj do wyobrażenia, prymitywnych i uciążliwych warunkach. Zarabiała na utrzymanie swoje i mego młodszego, uczącego się brata Zygmunta, a także na moje studia jako inkasent za energię elektryczną na wioskowych peryferiach tego miasta. Rok wcześniej została usunięta z posady nauczycielskiej za pochodzenie i okazaną publicznie, heroiczną postawę sprzeciwu wobec sowieckiej totalitarnej indoktrynacji w szkolnictwie. Według jej własnej relacji, gdy na powiatowej konferencji nauczycielskiej prezydujący wznosił okrzyk „Józef Stalin, wódz i chorążym pokoju, etc., etc. – niech żyje” i wszyscy poderwali się z miejsc, skandując przynajmniej trzykrotnie aklamację oraz intonując Międzynarodówkę, ona jedna siedziała i trzęsąc się ze zdenerwowania, mówiła otaczającym i nakłaniającym, a nawet próbującym zmusić ją do powstania, przerażonym kolegom, że nie może i nie będzie czcić zbrojczy! No i w 1950 roku wyrzucono ją z nauczycielstwa z wilczym biletem. Dobrze, że tylko na tym się skończyło. Konsekwencją biedy było m.in. to, że nie mogła mi nawet kupić potrzebnego do ćwiczeń laboratoryjnych drelichowego fartucha i jak mogła uszyła go sama ze starego „pudermantla”, co mnie głupiego, przynajmniej z początku, bardzo zawstydzalo. Kupienie, chyba za ówczesne 19 zł, modnej wówczas czapki akademickiej wymusiłem wtedy na Mamie zupełnie wbrew jej finansowym możliwościom.

W październiku 1952 roku na II roku studiów miejsce do zamieszkania dostałem w dalekim akademiku na Zakrzówku, przy ul. Kapelanka 23 w byłych koszarach kawalerii, bodaj w ośmioosobowej, ciemnej sali z piętrowymi łózkami. Mieszkali w niej studenci z różnych kierunków. Było to na prawym brzegu Wisły, około 2 km za mostem Dębnickim i bez żadnej komunikacji. Zupełnie fatalnie. Moja Matka po trzech miesiącach, nie wiem jakim cudem, znalazła mi kwatery przy ul. Żuławskiego koło Nowego Kleparza w przykuchennej służbowce o powierzchni 4 m², u nadzwyczaj życzliwej rodziny pp. Karnickich z Wileńszczyzny. Było to dla mnie dobrodziejstwem i mieszkalem tam od stycznia 1953 roku już do końca studiów, płacąc komorne 60 zł z przyznanego na ten cel mieszkaniowego dodatku stypendialnego.

Główną osobą w tej rodzinie matką rodzeństwa – dwojga już dorosłych – była podówczas wiekowa i chora na serce pani Aleksandra Karnicka, przed wojną najpierw, w latach 20., senator Rzeczypospolitej, a następnie posłanka w sejmach lat 30. Okazało się także, że będąc już dorosłą, знаła ona jako małego jeszcze chłopca, prof. Henryka Niewodniczańskiego, aktywnego teraz, wybitnego polskiego fizyka. Pani Aleksandra była osobą wszechstronnie wykształconą (studiowała matematykę na uniwersytecie w Petersburgu), znającą biegle kilka języków i społecznikiem w najlepszym tego słowa znaczeniu. Darzyła mnie wielką serdecznością i wyrozumiałością, pobłażliwie traktując nawet i alkoholowe przyjęcia, które czasami urządzaliśmy z bliskimi kolegami, wykorzystując moje „nieskrę-



Fot. 1. Matka autora – Irena Skarbeck-Borowska Perkowski w 1955 roku

powane rodziną” zamieszkanie. Zdarzyło się nawet, że śmiejąc się, przyjęła od nas poczęstunek kieliszkiem wódki. Aleksandra Karnicka zmarła w 1964 roku. Żywię do dzisiaj wdzięczność za tamte dobre, spędzone pod Jej macierzyńską opieką lata. Jej córka, także nadzwyczaj serdeczna, niezamężna Aldona Karnicka była faktyczną panią domu. Swego narzeczonego straciła w którymś z sowieckich obozów dla polskich oficerów. Przyjaciółmi domu byli pochodzący z Wilna profesorowie – humanista, filolog orientalista-turkolog Władysław Zimnicki i wybitny astronom Włodzimierz Zonn.

W tym, szczególnie poświęconym wspomnieniu mojej Matki fragmentcie mogę powiedzieć, że na swój nieporadny sposób starałem się przynajmniej trochę odwzajemniać Jej matczyną miłość i troskę. Gdy w trakcie studenckiego życia zaczęliśmy dość intensywnie korzystać z oferty kulturalnej Krakowa i uczęszczać do teatrów i filharmonii, umyśliłem zaproszenie Mamy na koncert. Z Jej strony było to ogromnie trudne do wykonania przedsięwzięcie, ale pokonując wszystkie przeszkody przyjechała. Koncert odbył się 13 marca 1952 roku. Pianista, prof. Bolesław Woytowicz grał utwory Beethovena, m.in. sonatę cis-moll – Księżycową. I wtedy Mamie, w tym przywołującym dobre wspomnienia doznaniu, po latach nieszczęść i ciężkiej poniewierki puściły nerwy i wybuchnęła, niemożliwym do powstrzymania, tłumionym oczywiście płaczem. Łzy płynęły Jej bezustannie po biednej twarzy. Jeszcze dzisiaj to widzę i czuję. A mnie było tak strasznie nieprzyjemnie i durny wstydiłem się okropnie, zamiast bez skrupowania publicznie przytulić Ją i uspokoić.

To wspomnienie, prezentujące zaledwie drobną część niemożliwego do przecenienia wkładu Matki w moje studia, mogę zamknąć wzmianką, że gdy okrzepłem i dzięki pomocy Jurka Stoczyńskiego zacząłem sobie dorabiać korepetycjami, usiłowałem Mamie ulżyć trochę w trudach codzienności.

Wiosna 1952 roku

W pierwszym dniu wiosny 21 marca 1952 roku, podczas ćwiczeń z nieorganicznej, jakościowej analizy chemicznej doktor Pasternak zarządził przerwę. Był piękny dzień. Wylegliśmy na dziedziniec Instytutu Chemii UJ. Przyszedł do nas prof. Wiktor Jakób i nasz kolega Zdzych Szegłowski zrobił serię zbiorowych zdjęć większości uczestników kursu wraz z profesorem i gronem asystenckim, a także samego zespołu asystentów i mniejszych grupek studentów. Na najliczniejszym, grupowym zdjęciu, w otoczeniu profesora widać 6 asystentów oraz 69 studentów.

W niedzielę 27 kwietnia urządzono nam próbę pochodu, który we czwartek 1 maja skończył się dopiero po godzinie dwunastej. Wykręcaliśmy się, jak tylko mogliśmy, od niesienia w pochodzie czerwonych szturmówek i idiotycznych transparentów. Bywało, że organizatorzy usiłowali komuś wcisnąć szturmówkę. Delikwent udając, że nie widzi odskakiwał i chorągiew leciała na ziemię. Po nagłośnionej radiowej transmisji reżimowego przemówienia Bieruta, przez kilka godzin w jazgocie płynących z głośników tzw. rewolucyjnych pieśni, przechodziliśmy wolno otaczającymi Planty ulicami, aby w końcu przedefilować przed trybuną wypełnioną jakimiś partyjnymi oficjalami. Wrażenia z pochodu skwitowałem w moim terminarzyku tylko zapiskiem, że byliśmy strasznie głodni. W kolejnych latach studentów nadal obowiązywało uczestniczenie w pierwszomajowym pochodzie, ale byliśmy już bardziej otrzaskani z tą celebrą. Po śmierci Stalina w 1953 roku, po ostentacyjnym pokazaniu się na zbiórce reżimowym organizatorom, w trakcie przemarszu ulicami uciekało się z pochodu. W 1956 roku „święciliśmy” ten dzień w skałkach, zresztą podczas zimnej, słotnej pogody.



Fot. 2. Prof. dr Wiktor Jakób z asystentami I Zakładu Chemicznego UJ i studentami I roku chemii przed Collegium Chemicum UJ na ul. Olszewskiego, 21 marca 1952 roku



Fot. 3. Prof. dr Wiktor Jakób i asystenci I Zakładu Chemicznego UJ: stoją od lewej mgr Adam Krawiec, mgr Mieczysław Łojek, mgr Jerzy Dumański i mgr Tadeusz Senkowski; obok profesora siedzą dr Antoni Pasternak i mgr Krystyna Warchałowska (Dyrek)

W sobotę 3 maja w świetlicy II Domu Akademickiego odbył się towarzyski wieczorek naszego I roku chemii z częścią artystyczną i taneczną. Na tę pierwszą złożył się m.in., ułożony przez Klub Kotów, skecz „Rada Bogów”, z podtytułem „Sen Karola Kunza” – jednego z trochę starszych kolegów. Prezentował on żartobliwie stosunki na asystenckim Olimpie pod panowaniem Zeusa, czyli dr. Pasternaka, którego frapowała nieoczekiwana pojawiająca się Gwiazda z firmamentu! Wśród rozmaitych śmieszności tekstu był i taki dialog między tow. Apollem (mgr Krawiec) i Hermesem (mgr Dumański): „...Po prostu... a propos! Masz Apollo te dwa pięćdziesiąt na ‘Po prostu’ i daj mi święty spokój.” „Po prostu” było reżimową i mocno głupawą, nachalnie wszystkim wtłaczaną młodzieżową gazetą. Był też i „Hymn Chemików I roku” autorstwa Marysi Rasticy, jednak jego tekst nie zachował się dla potomności. Taneczną część imprezy doskonale i z dużym zacięciem prowadził mgr Senkowski.

Następnego dnia, w niedzielę przy cudnej pogodzie, opiekun IV grupy studenckiej mgr Dumański – między nami Duduś, poprowadził wycieczkę do skalnych dolinek bolechowickiej (kobyłańskiej) i karniowickiej. Uczestniczyła nas spora liczba, także mgr Senkowski i mgr Warchałowska. Prezentując skałki, Jerzy Dumański opowiadał nam barwne, górskie przygody i demonstrował niektóre elementy wspinaczki. Starosta roku, Józek Krupa i ja pod opieką mgr Dumańskiego kilkakrotnie zjechaliśmy na linie z jednej ze skałek. Odczułem wtedy troszkę posmak skalnej wspinaczki. Z wycieczki pozostały, wykonane przez magistrów Dumańskiego i Senkowskiego zdjęcia, ukazujące jak bardzo byliśmy wtedy młodzi.

Dziesięć dni później przydarzyła mi się, bodaj jedyna podczas studiów, wpadka. Nie zdałem przed opiekunką mojej grupy studenckiej, panią mgr Krystyną Warchałowską zaliczeniowego kolokwium z oksydymetrii, bo nie potrafiłem określić stopnia utlenienia węgla w kwasie szczawiowym. W konsekwencji usłyszałem „no to panie Perkowski, dwója”. Więc umiem to do dziś. Niedługo potem poprawiłem bardzo dobrze to zaliczenie.

Studenckie Koło Chemików (Koło Przedmiotowe)

Już na I roku studiów niektórzy z nas wstąpili do Studenckiego Koła Chemików, którego celem było rozszerzanie wiedzy i kształtowanie umiejętności badawczych w wybranej dziedzinie. Ze strony dydaktycznego zespołu działaniami koła na naszym roku kierował powszechnie lubiany, a nieżyjący obecnie już, mgr Tadeusz Senkowski. Główną formą działalności było opracowywanie i wygłaszanie przez członków dla zainteresowanych kolegów referatów na wybrane tematy. I mnie coś takiego przypadło do zrobienia. Przygotowałem przerastający mnie trochę, sążnisty referat na temat elektronowej teorii wiązań chemicznych. Klóciłem się przy tym z mgr. Senkowskim o jego zakres i czas trwania, który przewidywałem na ponad godzinę. I ..., i nic z tego nie wyszło! Naładowany mądrością, zjawiłem się 14 lutego na sali wykładowej. Z urzędu przyszli mgr Senkowski i opiekunka mojej grupy studenckiej pani mgr Krystyna Warchałowska, a ponadto tylko trzy lub cztery osoby. Wśród słuchaczy była studentka II roku chemii Ewa Kraus, a od nas Heniek Chojnacki, Jurek Słoczyński i może ktoś jeszcze. Poczekałiliśmy pół godziny i rozeszliśmy się, rezygnując z wygłoszenia tej prelekcji. Tak to bywa – z wielkiej chmury, mały deszcz! Podobnie niefortunny przebieg miał mój referat dla Koła Chemików o związkach kompleksowych, dwa lata później na III roku studiów. Przewodniczył zebraniu, jako opiekun, mgr Andrzej Pomianowski. Zacząłem wykład przy dość pełnym audytorium. Jednak podczas jego trwania słuchacze kolejno, „po angielsku” wychodzili z sali. Zupełnie, jak niegdyś muzycy, opuszczający orkiestrę



Fot. 4. Wycieczka w skałki podkrakowskie prowadzona 4 maja 1952 roku przez mgr. Jerzego Dumańskiego. Studentki na skale: na pierwszym planie od lewej Halina Stojakowska, N.N., Zofia Stępkowska, Alicja Matraszek; wyżej nad nimi Ewa Zajac i Teodora Oszczypko

podczas prawykonania w Esterház symfonii fis-moll „Pożegnalnej” Haydna. Zachowując zimną krew, prelekcję prowadziłem do chwili, kiedy na sali pozostało razem ze mną pięć osób. Wtedy spokojnie zaproponowałem jej przerwanie, z czym mgr Pomianowski się zgodził. W opisanych wypadkach musiałem bądź nie dorastać do referowanego tematu, bądź chciałem przekazać zbyt wiele wiedzy z danej dziedziny nauki. Słuchacze ulegali znużeniu i treść wykładu przestawała ich zajmować.

W ramach działalności Koła Chemików z całkowitym sukcesem i przy pełnym audytorium odbyła się natomiast w ostatniej dekadzie maja 1952 roku publiczna prelekcja o skraplaniu powietrza i jego w tym stanie własnościach. Miała ona związek z tradycjami krakowskiego Zakładu Kriogenicznego. Uczestniczyłem w jej technicznym przygotowaniu. Między innymi na własnych barkach wynosiliśmy po schodach, z parteru na II piętro do sali wykładowej, naładowane w warsztacie pana Calikowskiego stalowe butle ze sprężonym do 200 at powietrzem. Prelegentką była Ewa Zajacówna, a Janka Pawlikowska przeprowadzała doświadczalne pokazy, wykorzystując aparaty do skraplania powietrza z czasów Olszewskiego. Pierwszy ten swój wykład mocno przeżywały, nawet z wypiekami na twarzy, ale wszystko doskonale się udało i efekt był wspaniały.

Później, na III roku studiów, w Kole Chemików Jurek Słoczyński z dużym sukcesem referował zagadnienia katalizy heterogenicznej, a potem także przedstawiał teorię roztworów mocnych elektrolitów. Z inicjatywy, wówczas jeszcze magistra Andrzeja Rokosza, student matematyki Andrzej Zajc w trzyczęściowej prelekcji omówił problematykę błędów pomiarowych i metody ich interpretowania.

Czas egzaminów i tragiczna śmierć kolegi

W maju zakończyły się wykłady I roku studiów. Czerwiec był czasem egzaminów, które pozdawałem w terminie. Przed zaliczeniowym kolokwium z chemii nieorganicznej i analizy jakościowej uczyłem się w olkuskim mieszkaniu Matki. Kolokwium miałem wyznaczone na godzinę szesnałą 14 czerwca 1952 roku. Tegoż dnia rankiem nie dostałem się jednak na rynek w Olkuszu do autobusu PKS, brutalnie odepchnięty przez

szofera, odmawiającego zabrania do przepełnionego pojazdu także i innych czekających pasażerów. Wykorzystując przypadkowe okazje, pchałem się więc szosą ojcowską ku Krakowowi. Za Pieskową Skałą, między Młynnikiem a Grodziskiem, podjął mnie z drogi jakiś mężczyzna i zawiózł na gołym bagażniku małego motocykla do Krakowa pod Collegium Witkowskiego. Ów pan wyświadczył mi wielką przysługę, bo wobec panujących komunikacyjnych trudności, nie zdążyłbym inaczej na to ważne kolokwium zaliczeniowe z głównego przedmiotu po I roku chemii. Mimo że po tej podróży miałem mocno obolałe siedzenie, kolokwium przed mgr. Jerzym Dumańskim zdałem z bardzo dobrą oceną. Pod koniec I roku, i podczas tej sesji, zbliżyliśmy się bardzo z Jurkiem Słoczyńskim, życzliwie pomagającym mi w uczeniu się matematyki, w której byłem słabszy i w znacznej mierze dzięki niemu ją zdałem. Później, jesienią zdałem u prof. Jerzego Janika egzamin z fizyki doświadczalnej. Na II roku, jako wolny słuchacz, przez pewien czas chodziłem jeszcze także na wykłady prof. Janika z fizyki teoretycznej dla IV roku chemii, nie byłem jednak do nich matematycznie wystarczająco przygotowany. Doskonale umiejący matematyk Jurek Słoczyński dobrze sobie radził z tą stroną wykładów, więc wysłuchał ich w całości, a poczynione notatki opracował nawet w formie uporządkowanego skryptu. Na oba kursy doświadczalnej i teoretycznej fizyki uczęszczała także pani doktor Janina Machaczka, narzeczona i niebawem już żona profesora Janika.

Spółecznością naszego I kursu chemii boleśnie wstrząsnęła 26 czerwca wiadomość o śmierci (w dniu poprzednim), wybranego przez nas starosty ZSP (Zrzeszenia Studentów Polskich) roku, kolegi Józefa Krupy. Mieszkał ze swoimi rodzicami w ich domu w podkrakowskich Czyżynach. Właśnie dojrzewały owoce i wczesnym rankiem do przydomowego ogrodu wtargnęli na rabunek uzbrojeni żołnierze, zdaje się wartownicy z pobliskiego wojskowego lotniska. Józek przepędził rabusiów, ale jeden z nich, uciekając, odwrócił się i strzelił, może nawet na oślep do goniącego. Niestety trafił w brzuch, uszkadzając żywotne organy. Mimo hospitalizacji, ranny wkrótce zmarł. Straciliśmy dobrego i wesołego, ogólnie lubianego kolegę. Razem z wieloma koleżankami i kolegami byłem 28 czerwca na pogrzebie. Trumnę ponieśliśmy na ramionach z Czyżyn na cmentarz w Nowej Hucie. Tak zgasło młode, obiecujące życie. Tych kilka linijek o Twojej tragedii niech Cię Józku upamiętnia!

Studenci na żniwa do PGR

25 czerwca ugiąłem się pod presją działaczy ZMP, nakłaniających uporczywie aż do skutku, aby pojechać na żniwa do PGR w Koszalińskim na Ziemiach Zachodnich. Podpisałem stosowną umowę, choć bardzo tego nie chciałem. Byłem więc rozdrażniony i w ogóle już zmęczony. Wracając skrajem Błoni do akademika, zostałem wieczorem po ciemku napadnięty przez bandę wyrostków i pobity pięścią po twarzy. Poczucie bezsilny i upokorzenia było nieznosne. Poszedłem z tym aż do Collegium Novum i tam, ukrywając się w toalecie, rozbezczałem się strasznie i długo nie mogłem się opanować. W końcu wypłakałem się i uspokoiłem. I bardzo, chyba nadmiernie, stwardniałem!

Na żniwa pojechała grupa studentów chemii: Basia Czerny, Maria Datka, Achilles Długajczyk, Hania i Jadzia Gorgoniówny, Teresa Heydlówna, Antonina Jarczyk, Ewa Lak, Jan Perkowski i Teodor Werber. W podróży przyłączyły się do nas studentki stomatologii Basia Zydrioniówna z koleżanką. Dwuipółtygodniowa praca żniwna w licznym, naprawdę zgranym i wesołym, koleżeńskim gronie na przełomie lipca

i sierpnia w gospodarstwie Gościno PGR w Karlinie, na południe od zrujnowanego wtedy jeszcze Kołobrzegu, okazała się jednak w końcu pożyteczna i pozostawiła przyjemne wspomnienia. Mieszkając i odżywiając się po spartańsku, bawiliśmy się także świetnie, niekiedy bardzo po męsku. Koledzy, zwłaszcza Achilles Długajczyk z Rajmundem Gwoździem, na oczach entuzjastycznie kibicujących koleżanek, odbywali w gimnastycznych koszulkach i krótkich spodenkach pojedynki pękami rosnących tam i wyższych od nich samych, ogromnych pokrzyw. Od wczesnego ranka wiązaliśmy w snopki i zwoziliśmy okropnie przerośnięte ostem żyto – mawialiśmy, że jest to „oset zachwaszczony żytem”, zbieraliśmy rzepak itp., z krzaków ziemniaczanych ręcznie usuwaliśmy i niszczyliśmy larwy oraz owady stonki ziemniaczanej. Obserwując tamtejszych robotników rolnych, zgodnie zinterpretowaliśmy skrót PGR, jako „pracownicy g... robią”. W 1953 roku raz jeszcze pojechałem latem z moim przyjacielem i jego kolegami ze studiów dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego na taką akcję żniwną do gospodarstwa Brynki Stare w powiecie Gryfino, niedaleko Szczecina.

Czas wolny – życie kulturalne, rozrywki i turystyka

Mimo obarczenia i potrzebną, i zbędną nauką uczestniczyliśmy intensywnie w życiu kulturalnym. Pod tym względem działanie Zrzeszenia Studentów Polskich – pozornie apolitycznej organizacji, było pozytywne i wydajne. Korzystając z bardzo ulgowych biletów, chodziliśmy często do teatrów, kin i na koncerty. Organizacyjnie kierowała tym wybrana przez ogół starościna roku Ewa Zajączkówna. Robiła to z entuzjazmem powodowanym jej osobistymi kulturalnymi fascynacjami, a nadto z powodu swego rzeczywiście społecznego zacięcia.

Spśród licznych przedstawień teatralnych, bodaj jako pierwsze, zapamiętałem „Wodewil warszawski” Gozdawy i Stępnia w teatrze Bagatela. Była to niewątpliwie propagandowa sztuczka, wykorzystująca żywione wówczas jeszcze przez znaczną część społeczeństwa nadzieje i zapał powojennego dźwigania się z ruin. Ujmowała piosenkami z muzyką Szpilmana, np. „Małe mieszkanko na Mariensztacie”, które dla wielu z nas było nieosiągalnym marzeniem. Zapamiętałem to jednak z innego powodu. Usiadłem na swoim miejscu, mając w rzędzie obok siebie obce mi osoby. Po prawej stronie siedziały dwie panie, a za nimi Janka Pawlikowska z koleżankami. No więc pokiwaliśmy do siebie, wymieniając też uśmiechy. Panie to zauważyły i powiedziawszy: „niech młodzi siedzą z młodymi”, przesiały się, robiąc mi miejsce obok panien. Były to panie Scheybal i Anna Pawlikowska, matka Janki i żona Stefana Pawlikowskiego, profesora – kierownika Katedry Wielkiego Przemysłu Nieorganicznego na Politechnice Śląskiej w Gliwicach. Przez całe studia wielokrotnie gościłem i byłem serdecznie podejmowany w tym przyjaznym domu. Jako inne obejrzane przedstawienia wymienię np.: „Sen nocy letniej”, „Profesję pani Warren” z Antonim Fertnerem i „Śluby pańskie”, o których trochę poniżej. Nie poszedłem natomiast na sowieckie, antypolskie sztuczdyło „Lubow Jarowaja”, w którym niestety m.in. grał, pochodzący z Wilna, wybitny aktor Jan Kurnakowicz. Wystawieniem „Rigoletta” w Teatrze Słowackiego z Jadwigą Romańską w roli Gildy rozpoczęła działalność Opera Krakowska. Jadwiga Romańska za pomocą gazetowych ogłoszeń, które sam widziałem, poszukiwała dla siebie wtedy w Krakowie mieszkania.

Chodziliśmy także do kina, unikając jednak filmów radzieckich. W nawiązaniu do wrażeń ze szkolenia wojskowego, wspaniałej zabawy dostarczył nam „Fanfan Tulipan”



Fot. 5. Na treningowej wycieczce z Krakowa do Ojcowa uczestnicy IX turnusu centralnego obozu wędrownego ZSP przez Beskid Śląski, Żywiecki i Wysoki do Zakopanego 12–26 sierpnia 1953 roku; Jan Perkowski klęczy przed stojącymi po prawej stronie

z chwackim Gerardem Philipem i uroczą Giną Lolobrigidą. W tych latach wyświetlano też ambitne filmy włoskiej Nowej Fali, np. „Proces przeciwko miastu”, wstrząsające – „Rzym miasto otwarte”, „La Strada” i inne, korespondujące częściowo z propagandowymi potrzebami komunistycznego reżimu. W 1955 roku obejrzałem jeden z najwspanialszych dla mnie filmów, brytyjski „Okrutne morze”.

Przez dłuższy czas często chodziłem na koncerty. Był to czas, gdy Filharmonię Krakowską kierował wspaniały Bohdan Wodiczka, dyrygujący zawsze we fraku. Wysłuchałem wtedy jedyny raz w życiu IX symfonii Beethovena, kiedy indziej znowu jego symfonii VII. Wysłuchałem także m.in. „Zartu muzycznego” Mozarta czy „Przygody Dyla Sowi-zdrzała” Ryszarda Straussa, poematu symfonicznego Mieczysława Karłowicza „Stanisław i Anna Oświecimowie” oraz wspaniałego, jedyne skrzypcowego koncertu D-dur Beethovena. W sali koncertowej widywałem naszego profesora chemii organicznej Jana Moszewska z rodziną. Grał on dobrze na skrzypcach w amatorskim, przyjacielskim kwartecie. Bywał Andrzej Fuliński. Spotykałem w filharmonii także Ewę Zającównę z rodzicami. Jej ojciec Seweryn Zająć był wysokiej klasy chemikiem, pracującym wtedy na odpowiedzialnych stanowiskach w upaństwowionej, farmaceutycznej wytwórni byłego Wandera. Podczas całych studiów wielokrotnie bywałem w domu Ewy, zawsze mile przyjmowany przez państwa Zająców, zwłaszcza przez częściej obecną, wielce kulturalną panią domu. Przechodząc kiedyś ich ulicą (Batorego), usłyszałem z jakiegoś okna melodię, o której uświadomiłem sobie, że pamiętam ją jeszcze z wczesnego dzieciństwa z domu Rodziców w Gdańsku, i zanuciłem jej motyw przewodni, to pani Zofia Zającowa powiedziała mi wówczas, że jest to słynna serenada Franciszka Schuberta „Cicho płyną pieśni moje”. Tę informację wdzięcznie na zawsze zapamiętałem. Ojciec mój miał gramofon i chyba lubił odtwarzać sobie ten utwór.

Z biegiem lat ZSP poszerzyło także działalność o ofertę turystyczną. Również dzięki Ewie Zającównie, latem 1953 roku uczestniczyłem w doskonale prowadzonym studenckim obozie wędrownym od Bielska przez Beskid Śląski, Żywiecki i Wysoki do Zakopanego i Tatr. Znamienne było to, że na trasie musieliśmy ominąć masyw Pilska,

ponieważ szlak turystyczny biegł tam po polsko-czechosłowackiej granicy. Jednak na Babią Górę wyszliśmy ze schroniska na Markowych Szczawinach chyłkiem „percią akademicką” przed świtem, aby móc zobaczyć wspinały babiogórski wschód słońca i to się nam udało. Kierownikiem babiogórskiego schroniska był wtedy pan Czech, który dawniej prowadził schroniska w masywie Czarnohory. O ile pamiętam, organizacją wędrownych, górskich obozów ZSP kierował Wojciech Niedziałek, jeden ze wspinaczy, którzy w 1948 roku usunęli rozbite lustra ze szczytu iglicy na wrocławskiej Wystawie Ziemi Odzyskanych. Te studenckie wczasy wędrowne były moim pierwszym prawdziwie turystycznym doświadczeniem i równocześnie wielkim przeżyciem.

Przymus ideologii komunistycznej – studenci jako propagandiści

Podobnie jak większość przychodzących studiować, należałem do Związku Młodzieży Polskiej – ZMP, jedynej dopuszczonej przez partyjno-państwowe władze reżimowej organizacji młodzieży. Jej celem było wpajanie młodym ludziom doktrynalnych, komunistycznych przekonań *per fas et*, bardziej, *nefas*. Posuwano się często do brutalnych nacisków, od nakłaniania do wstąpienia do organizacji poczynając. Tak też sprawa się miała i z moją przynależnością. Wskutek braku Ojca i biedy byłem w latach 1947–1951 wychowankiem Państwowego Zakładu Wychowawczo-Naukowego im. Tadeusza Kościuszki w Krzeszowicach, wspinał się działającej instytucji, zapewniającej utrzymanie i kształcenie od 300 do 350 młodzieży – dziewcząt i chłopców, sierot bądź półsierot wskutek minionej wojny. Zakład mieścił się w pałacu, odebrany po wojnie rodzinie Potockich. Zorganizował go w 1946 roku i kierował nim do 1950 roku przybyły z Lubelszczyzny wybitny i wizjonerski pedagog dr Stanisław Jedlewski, absolwent Lwowskiego Uniwersytetu im. Jana Kazimierza. Był to nasz dom, dla wielu wtedy jedyny. Przy trudnej do przecenienia pozytywnej działalności naszego zakładu, nieprzynależność do ZMP po roku 1949 była w nim praktycznie niemożliwa. Wyjątek stanowił, starszy ode mnie o ponad osiem lat, Jaś Zaleski, wspinały człowiek, późniejszy profesor polonistyki w krakowskiej WSP i ojciec księdza Tadeusza Zaleskiego, głośnego w latach 90. kapłana społecznika, współzałożyciela Fundacji im. św. Brata Alberta w Krakowie, prowadzącego Schronisko dla Niepełnosprawnych w Radwanowicach.

Analogiczne sytuacje miały miejsce wszędzie. Wywierano brutalne naciski, aby zapisywać się do tej organizacji. Na przykład pochodzący ze wsi i „napiętnowany” kulaćskim pochodzeniem Aleksander Szczodry, będąc w dziesiątej klasie, usłyszał w swoim IV Liceum Ogólnokształcącym im. Henryka Sienkiewicza w Krakowie, że o studiach bez należenia do ZMP nie ma mowy i że w końcowej, według wprowadzanego do polskich szkół systemu sowieckiego jedenastej klasie, przyjmowania do organizacji nie będzie!

Rozpoczynając studia, byłem więc członkiem ZMP. Co więcej, mieszczący się przy ul. św. Tomasza w Krakowie zarząd ZMP Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Chemicznego wyznaczył mnie z miejsca i bezapelacyjnie funkcyjnym, mianowicie tzw. sekretarzem mojej II grupy studenckiej. Przypuszczalnie kierowali się tym, że po czteroletnim pobycie w państwowej instytucji wychowawczej powinienem być już odpowiednio urobiony. Sekretarzem zarządu wydziałowego był Stanisław Lis, a jego zastępcą Tadeusz

Zeifert-Skórkowski. Obaj byli wtedy studentami III roku chemii i wzbudzali w większości z nas mieszaninę obawy i co najmniej niechęci. Nie słyszałem jednak, aby komuś bardzo zaszkadzili, np. powodując relegowanie ze studiów.

Przez I rok studiów wypadło mi więc wykonywać czynności organizacyjno-instruktażowe. Polegało to na prowadzeniu, około raz na miesiąc, zebrań ideologiczno-szkoleniowych z moimi kolegami w odpowiednio podniesłej atmosferze. Od góry z pewnością widziano by chętnie personalne indagacje lub pouczenia o moralności socjalistycznej, czego nie robiłem. Nadto zalecano nadzorowanie pilności kolegów w nauce i ewentualnie organizowanie pomocy tym, którzy z nią sobie nie radzili. Jako materiały do szkoleń dostarczano np. „Notatniki agitatora”, o mocno prymitywnych, prostackich treściach. Z tych zebrań nic jednak nie pamiętam, poza świadomością straty czasu i nudy. Tak, jako mimo woli aktywiście ZMP, upłynął mi I rok studiów. Wydaje mi się jednak, że mimo narzuconej roli, nikomu nie uczyniłem krzywdy.

W tym czasie przeżyłem pewne godne opowiedzenia zdarzenie. Po powrocie w piątek 21 marca 1952 roku z zajęć uniwersyteckich do pokoju w akademiku, Heniek Chojnacki i ja zastaliśmy pozostawione imienne wezwania na piśmie do zgłoszenia się następnego dnia w siedzibie Komitetu Wojewódzkiego PZPR przy ul. św. Marka. Jesteśmy przekonani, że przybyłbym do akademika dla naboru studentów-agitatorów, partyjnym propagandystom z KW, obecni wtedy na miejscu koledzy skwapliwie zarekomendowali nas do wezwania na akcję nakłaniania rolników do kolektywizacji, sami dzięki temu się od tego wymigując. Nam zabrakło śmiałości, aby to zignorować, więc chcąc nie chcąc w sobotę udaliśmy się tam. Okazało się, że propagandiści z KW wysyłają całą grupę młodych ludzi do licznych wsi w celu nakłaniania chłopów do zapisywania się do „kołchozów” – rolniczych spółdzielni produkcyjnych. Była to jedna z form państwowego przymuszania do kolektywizacji rolnictwa na wzór sowiecki. Odniosłem wrażenie, że cała ta akcja to jedna, wielka improwizacja, zgodna z ówczesną doktryną polityczno-gospodarczą, kierującą się priorytetem przekształceń własnościowych kosztem spadku efektywności ekonomicznej, bo wtedy było już wiadomo, że indywidualne gospodarstwa są wydajniejsze mimo stosowania wobec nich brutalnych szykan oraz subwencji dla, na ogół deficytowych, kolektywnych gospodarstw (*Kronika XX wieku*, wyd. I, Kronika, Warszawa grudzień 1991, s. 761). Bodaj od stycznia 1952 roku, wobec spowodowanego przez te działania braku żywności, wprowadzono w Polsce system zaopatrzenia na kartki, enigmatycznie zwane bonami dla zamaskowania okupacyjnych analogii. W KW nie dano nam żadnych pisemnych sugestii treści naszych wystąpień, a i ustne były bardzo skąpe. Po prostu mieliśmy przekonywać, jak to w tych spółdzielniach produkcyjnych będzie dobrze! Wyjazd agitacyjny na wieś nastąpił rankiem, w niedzielę 23 marca. Wręczono nam blankiety delegacji służbowych do potwierdzenia na miejscu przeznaczenia. W okropnie mokry, szary marcowy dzień załadowano Heńka i mnie do ciężarówki z ławami z desek pod brezentową budą i wraz z innymi wieziono szosami ponad godzinę, gdzieś w południowe regiony województwa krakowskiego. Może to były okolice w pasie Myślenic, Wadowic, Andrychowa, Kęt? Na skrzyżowaniach z drogami wiodącymi do wsi wysadzano nas pojedynczo bądź dwójkami. I na mnie, na jednym z rozstajów czekała podwoda z sołtysem, która bezpłatnie podwiozła mnie do nieodległej wsi. Gdzie to było, nie mam dziś pojęcia. Wprowadzono mnie do świetlicy szkolnej bądź strażackiej i znalazłem się za prezydialnym stołem, naprzeciw siedzącej na ławkach gromady mieszkańców, w większości mężczyzn. Sołtys zapowiedział, że dowiedzą się ode mnie o zasadach

kolektywnego rolnictwa. No więc mówiłem posłusznie, jak tam umiałem, przypominając sobie coś z politycznego szkolenia, któremu od kilku lat nas poddawano i z tych luźnych partyjnych wskazówek sprzed wyjazdu. Zebrani cierpliwie słuchali, nie okazując mi nieprzychylności. Wystąpienie zakończyłem roztoczeniem przed słuchaczami wizji świetlanej przyszłości i dobrobytu, jakich mogą dostąpić dzięki kolektywizacji ich dzieci i wnuki. Innej argumentacji na rzecz kolektywizacji rolnictwa nie umiałem wymyślić. Umilkłem, proponując zapytania i wypowiedzanie się. Wtedy wstał jeden ze słuchających mnie chłopów i zapytał dość dokładnie tak: „No dobrze, cieszymy się, że następne pokolenia będą tak świetnie się miały, ale co będzie z tego wszystkiego dla nas, żyjących teraz?” Moje misternie konstruowane i z elokwencją przedstawiane wywody sromotnie padły wobec zdroworozsądkowej kwestii tego prostego człowieka. Niezbyt sensownie powtarzając swoją naiwną argumentację, coś tam usiłowałem odpowiedzieć. Wybawił mnie z kłopotu przedstawiciel lokalnej administracji, po prostu kończąc zebranie. Zapamiętałem na zawsze tę rozsądną mądrość prostego, zwykłego wiejskiego człowieka, która do dzisiaj mi imponuje. Z dosyć głupim samopoczuciem zostałem odwieziony na skrzyżowanie, skąd mnie i pozostałych, chyba jak i ja, w większości mimowolnych agitatorów, podjęła ciężarówka i zawiozła z powrotem do Krakowa. W swojej wsi występowałem sam. Tymczasem Henryk Chojnacki tak zrelacjonował swoje wystąpienie w roli agitatora mimo woli, cytując: „Byliśmy we dwóch, za towarzysza miałem wówczas jakiegoś oficera LWP, który był znacznie bardziej ode mnie aktywny podczas spotkania z chłopami. Dlatego nie musiałem wkładać zbyt wiele wysiłku w trakcie zebrania, które odbyło się w przykościelnym pomieszczeniu, zaraz po nabożeństwie. Też nie potrafię określić, w jakiej miejscowości miało to miejsce.”

Po przybyciu z powrotem do partyjnego budynku dokonano tam z każdym z nas niezwłocznie rozliczenia za pobyt w delegacji w terenie. Robiłem to pierwszy raz w życiu. Dieta za dobę wynosiła chyba 12 zł. Załatwiający sprawę urzędnik zupełnie jawnie sugerował, jak kłamać, aby otrzymać jak najwyższą wypłatę. A zatem fikcyjny koszt przejazdu podwodą w obie strony, jeszcze jakieś należności, rozszerzenie czasu delegacji o poprzedzającą sobotę, ryczałt za nocleg. Wyszło mi 43 zł! Dla studenta kwota wówczas niebagatelna. Więc, mimo wewnętrznych oporów, uległem i tak rozliczyłem, i przyjąłem pieniądze. Henryk Chojnacki był uczciwszy i w ogóle nie skorzystał z nadarzającej się sposobności podratowania chudego, studenckiego budżetu za tę przymusową, acz niechcianą agitację. Niektórzy z delegowanych nie mieli jednak skrupułów i szli „na całość”, inkasując jeszcze większe od mojej kwoty. Być może urzędnikiem powodowała także chęć finansowego wspomnienia studentów, lecz była to jawna lekcja nieuczciwości wobec własnego państwa, udzielana w swojej siedzibie przez „przodującą siłę narodu”. Wiadomo, że dorabianie naciąganyymi rozliczeniami delegacji było przez wiele lat powszechną praktyką, niewzbudzającą u większości obywateli żadnych skrupułów.

Wykorzystując pozycję sekretarza grupy ZMP, przed rozpoczęciem następnego roku studiów, 30 września 1952 roku dostałem się na posiedzenie komisji stypendialnej wydziału pod przewodnictwem prodziekana, profesora fizyki teoretycznej Bronisława Średniawy. Właściwie to prawem kaduka uzurpowałem sobie rolę opiniodawczą w kwalifikowaniu moich kolegów z II grupy studenckiej chemii do przyznania stypendiów, zwłaszcza całkowitych bądź ewentualnie częściowych. Ponieważ jednak lista składających podania o stypendium była całościowa dla naszego roku, zapytywano mnie o wszystkich kolegów i opiniowałem, jak mogłem najskuteczniej, a prof. Średniawa najwyraźniej

chętnie uwzględniał moje rekomendacje. Po wyczerpaniu listy stypendialnej, teraz już II roku chemii, taktownie podziękowałem i wyszedłem. Skutkiem mojego udziału w komisji było to, że przytłaczająca większość ubiegających się o stypendia kolegów otrzymała ich całkowite kwoty – 210 ówczesnych złotych miesięcznie, a pozostali przynajmniej częściowe, których wysokości nie pamiętam.

Tak zakończyłem działalność aktywisty ZMP, bo zaraz z początkiem II roku studiów wrobiłem w tę funkcję mego serdecznego przyjaciela Bogusia Śliwę, który niech mi to wybaczy. Boguś sekretarzując, skutecznie położył w naszej grupie działalność zetempowską, bo nie przypominam sobie, aby cokolwiek się już potem do końca studiów organizacyjnie działo.

Przejawy i wyniki politycznej indoktrynacji

Przejawy i wyniki politycznej indoktrynacji oraz oddziaływania zewsząd komunistycznej propagandy wśród młodzieży były jednak widoczne. Niektórzy, zwłaszcza pochodzenia robotniczego lub chłopskiego, ze środowisk doświadczonych biedą, a obecnie mających przynajmniej subiektywne poczucie społecznego awansu, np.: Wiesław A., Władysław K. czy starosta ZSP naszego roku Józef K., koleżanka Teodora O. bądź sekretarz ZMP roku Marian Sz., byli wielce pozytywnie ustosunkowani do narzuconej przez sowiecką przemoc ustrojowej rzeczywistości. Niemal automatycznie pociągało to uznanie i podziw dla Kraju Rad, wraz z patriotyczną ślepotą, uniemożliwiającą widzenie rozwijającego się zła i zbrodni przeciwko Polsce. Jednak mimo takiego postrzegania spraw raczej nie działali oni z premedytacją na szkodę kolegów pozbawionych entuzjazmu bądź złudzeń względem komunistycznego ustroju. Co najwyżej przekonani czy rzekomi entuzjaści w uciążliwy sposób zmuszali innych do kamuflażu odmiennych poglądów i pozorowania akceptacji lub przynajmniej niesprzeciwiania się narzucanym postawom. Raz więc Władysław K. przed wykładem fizyki wygłosił wyuczoną, napastliwą i jednocześnie mocno prymitywną agitację antykościelną, atakując benedyktyńską maksymę „módl się i pracuj”. Na szkoleniu wojskowym Wiesław A. był młodzieńczym entuzjastą serwowanych nam opisów autentycznego, lecz tragicznego bohaterstwa żołnierzy Armii Sowieckiej, w rzeczywistości wymuszanego masowo przez zbrodnicze decyzje i błędy dowódcze, przez tzw. oddziały zaporowe strzelające własnym żołnierzom w plecy oraz niedozbrojenie i szafowanie życiem żołnierzy. Józek K., zapewne także powodowany swoim pochodzeniem i młodzieńczym bezkrytycyzmem, bardzo uznawał Rosję Sowiecką i póki żył, nękaćco nakłaniał nienależących do ZMP kolegów, m.in. zwłaszcza Jankę Pawlikowską, aby się do tej organizacji zapisali.

Partyjni Lis i Zeifert-Skórkowski jako kierownicy wydziałowego ZMP, nie na- zbyt może szkodząc indywidualnie, byli jednak bez wątpienia etatowymi, gorliwymi i fachowymi naganiaczami, wymuszającymi na ogóle należących *volens volens* do organizacji, przynajmniej pozorowanie entuzjazmu dla aplikacji sowieckiego ustroju dyktatury proletariatu. Młodzieńcze postawy buntu i jednoczesna potrzeba psychiki dorastającego człowieka, zbliżonej do wiary motywacji przekonań bądź konieczność naturalnej obrony przed zagrożeniami ze strony reżimu, doprowadzały w tych warunkach do niekiedy zaskakujących postaw. Ukazuje to prawdziwie rodzajowa ZMP-owska scenka, świadcząca o zniewalaniu umysłów bądź swoistym konspirowaniu się w warunkach totalitarnej, brutalnej presji agresywnych prześladowań. W końcu

1951 roku (lub z początkiem 1952 roku) odbywały się statutowe wybory zarządu wydziałowego ZMP. W audytorium Collegium Chemicum zgromadzono przede wszystkim funkcyjnych członków tej organizacji z całego Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii, więc i ja tam byłem. Do naczelnych stanowisk nadrzędny, uczelniany zarząd rekomendował oczywiście ponownie wymienionych aktywistów. Ustępujący zarząd proponował kandydatów na inne funkcje, ale pozostawiono także kwotę dla wolnych zgłoszeń z sali. Aby uzyskać bierne prawo elekcji, wyłonione osoby musiały publicznie przedstawić swój życiorys, uzasadniający wybór do pełnienia zetempowskiej funkcji. Jednym z kandydatów był student matematyki Stefan T. Kiedy przyszła jego kolej, stanął na mównicy i ze zboliałym, kamiennym wyrazem twarzy oświadczył niemal grobowym, dramatycznym głosem „Jestem synem obszarnika...”, jakby to było niewybaczalnym, pierworodnym grzechem. Dalszej treści jego wystąpienia nie pomnę. Pewno starał się jakoś złagodzić wobec audytorium to odium fatalnego pochodzenia społecznego, tak by zyskać przychyłność wyborców o właściwej, proletariackiej świadomości. Nie pamiętam też, czy został wybrany na którąś z wakujących funkcji. Do dzisiaj nie znajduję odpowiedzi na pytanie, czy Stefan był wtedy, co się zdarzało, omamionym przez komunizm, jego wierzącym entuzjastą i działaczem z poczuciem winy za grzech ziemiańskiego pochodzenia czy też, wobec niemożności ukrycia tegoż, symulowanie przez Stefana nawrócenia było sposobem uniknięcia represji przez wyprowadzenie w pole partyjnych siepaczy, umożliwiającym mu najpierw przyjęcie na studia, a następnie chroniącym przed dalszymi szykanami. Rodzaj mieszkanki Almanzora i Konrada Wallenroda?

Pochodzenie lub nieprzynależność do komunistycznego ZMP powodowało jednak także, i to znacznie później, w ostatnim kwartale 1953 roku, już po śmierci Stalina, napawające grozą i dotkliwe konsekwencjami następstwa. Maria Kolankowska ze Lwowa latem tegoż roku była uczestniczką, prowadzonego przez „apolityczne” Zrzeszenie Studentów Polskich, wakacyjnego obozu studenckiego nad morzem. Mimo starannego skrywania, że nie jest członkinią ZMP, współmieszkanki z wielką dezaprobatą, acz po cichu to wysłedziły. Ktoś musiał następnie przekazać o tym donos. Wskutek tego Urząd Bezpieczeństwa jesienią 1953 roku wzywał kilkakrotnie ojca Marysi, pana Romana Kolankowskiego do złowrogiego gmachu – siedziby krakowskiego UB na placu Inwalidów (wówczas Wolności), na bardzo nieprzyjemne indagacje z naciskami w sprawie przynależności córki do komunistycznej organizacji. W następstwie tego pan Kolankowski niebawem rozchorował się na serce.

Oprócz ideologiczno-politycznej edukacji, aplikowano nam także jej praktyczną realizację w formie „spontanicznie” podejmowanych prac społecznych, np. pomocy w budowaniu Nowej Huty. Odbywało się to w niedziele, jako jedyne wówczas wolne dni tygodnia. Przypominam sobie jeden taki wyjazd do Nowej Huty w październiku lub listopadzie 1952 roku. Pracowaliśmy wtedy w lepkiej lessowej, żółtej glinie (bardzo żyzna gleba!), wyładowując z ciężarowych samochodów i układając w podłużne graniastosłupy cegłę na nowohucki szpital. Zatem taki wkładzik zaliczam sobie w jego budowę. Więcej do Nowej Huty nie jeździłem, dlatego zapewne, że od stycznia 1953 roku przestałem mieszkać w akademiku. Znajdujący się nadal pod ręką mieszkańcy domów akademickich, m.in. Henryk Chojnacki, byli tam zawożeni podstawianymi pod akademik ciężarówkami więczej razy.

II rok studiów w nowym Collegium Chemicum

II rok studiów rozpoczynaliśmy w październiku 1952 roku przenosinami Zakładów Chemii z dotychczasowej, już zbyt ciasnej siedziby przy ulicy Karola Olszewskiego w sąsiedztwie Collegium Novum, do nowo wybudowanych, obszernych gmachów na ulicy Krupniczej przy parku imienia doktora Jordana. Pomagaliśmy przy przewożeniu sprzętów, aparatur i wyposażenia laboratoriów, zakładowych bibliotek. W nowych przestronnych salach ćwiczeń, impregnowane według dyspozycji prof. Jakóba czernią anilinową dla nadania ognioodporności, wspaniałe dębowe blaty stołów laboratoryjnych, zabezpieczaliśmy przed działaniem chemikaliów, pokrywając dodatkowo powierzchnie gorącą, stopioną parafiną.

Z tym samym zespołem asystenckim odbywaliśmy teraz ćwiczenia z nieorganicznej analizy ilościowej. „Konikami” wag analitycznych doganiał się wciąż uciekające masy wyprażonych, higroskopijnych osadów. Przy zachowaniu dotychczasowego podziału na grupy studenckie, wskutek przestronności laboratoriów nastąpiło pewne rozluźnienie powszechności koleżeńskich kontaktów, stopniowo zastępowane umacnianiem się nieformalnych, wspominanych już zespołów przyjacielskich. Kierowały tym wzajemne sympatie, zdolności i krystalizujące się zainteresowania poszczególnymi działami chemii. Tendencja ta w miarę upływu studiów się pogłębiała.

Semestry trzeci i czwarty naszego II roku studiów charakteryzowało obciążenie przedmiotami obcymi wybranemu kierunkowi, a mianowicie marksizmem-leninizmem, ekonomią polityczną i wojskowym szkoleniem mężczyzn. Przedmiotami fachowymi były tylko monograficzny, jednogodzinny w tygodniu wykład chemii analitycznej ilościowej prof. Jakóba, a od półrocza pięć godzin tygodniowo wykładu chemii organicznej prof. Moszewska. Ćwiczeń z chemii analitycznej ilościowej nieorganicznej mieliśmy, podobnie jak w poprzednim roku jakościowej, dwanaście godzin na tydzień. To częściowo utrzymywało jeszcze spójność naszego roku jako całości.

Dwanaście lat wcześniej w Przecławiu

W poniedziałek 10 listopada 1952 roku spotkałem w Zakładzie Chemii dr. Zdzisława Wojtaszka, który zatrzymał mnie i zapytał: „Panie Perkowski, czy pan mieszkał i chodził do szkoły w 1940 roku w Przecławiu?” „Tak proszę pana”, odpowiedziałem. „No to ja pana znałem i przypominałem sobie, bo wtedy, podobnie jak i teraz, zaciął się pan przy mówieniu”. Zdziwiło mnie to trochę, byłem raczej wygadany i nie zdawałem sobie sprawy z tego mankamentu. Ale chyba tak jednak było, przypuszczam, że wskutek napięcia powodowanego przez wywołujący lęki reżim polityczny. Okazało się, że dr Wojtaszek jest synem kierownika szkoły w Przecławiu, który zgodził się, aby mój Ojciec, przebywający w 1940 roku na Żmudzi na Litwie, adresował do niego listy dla mojej Matki. Rodzice rozdzieleni po katastrofie wrześniowej, w grudniu korespondencyjnie się odnaleźli. Chodziło jednak o to, że w końcu maja 1939 roku, wykonując jako pracownik polskiego MSZ swoje obowiązki i zastępcy Komisarza Generalnego RP w Wolnym Mieście Gdańsku, Ojciec naraził się szczególnie hitlerowcom w tzw. aferze kałdowskiej, w ówczesnym Kalthofie na przedmieściu Malborka¹. Zimą 1939/1940 Niemcy poszukiwali Ojca listem

¹ C.J. Burckhardt, *Moja misja w Gdańsku 1937–1939*, wyd. I, IW Pax, Warszawa 1970, s. 236.

8 **UNIwersYTET** **JAGIELLOŃSKI** 9

Rok akad. 195 2/3 00596 *

WYKŁADY I ĆWICZENIA

Tytuł wykładu i nazwisko wykładającego	Godz. tyg.	Zaliczenie	
		Data	Podpis wykład.
Prof. Dr. W. Juszczyk Chemia analityczna Hosław	1.		<i>Juszczyk</i>
Prof. Dr. J. Morsowski Podstawy marksizmu Lwów	2.		<i>Morsowski</i>
Prof. Dr. J. Morsowski Chemia polityczna	2.	10.1	<i>Morsowski</i>
Wyszkolenie wojskowe PK - Peste	4	10.1 53	<i>Morsowski</i>

III SEMESTRU

Rodzaj ćwiczeń, seminarium, pracownia, laboratorium i t. d.	Godz. tyg.	Zgłoszenie	Zaliczenie	
			Data	Ocena — Podpis
Ćwiczenia z chemii analitycznej Hosław	12.			<i>Juszczyk</i>
Lektorat Język niemiecki	2.	10.1	10.1	<i>Morsowski</i>
Ćwiczenia z podstaw marksizmu Lwów	1.	10.1	10.1	<i>Morsowski</i>
Ćwiczenia z podstaw politycznych	1.			<i>Morsowski</i>
Wychowanie fizyczne	2.	15.1	15.1	<i>Morsowski</i>
Lektorat Język niemiecki	2.	15.1	15.1	<i>Morsowski</i>
Zaliczenie semestr III Peste				<i>Morsowski</i>

BIBLIOTEKA ZAKŁADU PODSTAW MARKSIZMU I LENINIZMU
Lwów

Fot. 6. Indeks autora – wykłady i ćwiczenia III semestru

10 **UNIwersYTET** **JAGIELLOŃSKI** 11

Rok akad. 195 2/3 00596 *

WYKŁADY I ĆWICZENIA

Tytuł wykładu i nazwisko wykładającego	Godz. tyg.	Zaliczenie	
		Data	Podpis wykład.
Prof. Dr. W. Juszczyk Chemia analityczna Hosław	1.		<i>Juszczyk</i>
Prof. Dr. J. Morsowski Chemia organiczna	5.		<i>Morsowski</i>
Prof. Dr. J. Morsowski Podstawy marksizmu Lwów	2.		<i>Morsowski</i>
Prof. Dr. J. Morsowski Chemia polityczna	2.		<i>Morsowski</i>
Wyszkolenie wojskowe PK - Peste	4	15.1 1953	<i>Morsowski</i>

IV SEMESTRU

Rodzaj ćwiczeń, seminarium, pracownia, laboratorium i t. d.	Godz. tyg.	Zgłoszenie	Zaliczenie	
			Data	Ocena — Podpis
Ćwiczenia z chemii analitycznej Hosław	12.		10.1	<i>Juszczyk</i>
Lektorat Język niemiecki	2.	10.1	10.1	<i>Morsowski</i>
Ćwiczenia z podstaw marksizmu Lwów	1.	10.1	10.1	<i>Morsowski</i>
Ćwiczenia z podstaw politycznych	1.			<i>Morsowski</i>
Wychowanie fizyczne	2.	15.1	15.1	<i>Morsowski</i>
Lektorat Język niemiecki	2.	15.1	15.1	<i>Morsowski</i>
Zaliczenie semestr IV Peste				<i>Morsowski</i>

BIBLIOTEKA ZAKŁADU PODSTAW MARKSIZMU I LENINIZMU
Lwów

Fot. 7. Indeks autora – wykłady i ćwiczenia IV semestru

UNIwersYTET JAGIELLOŃSKI

Rok akad. 195 2 / 3 00596 *

KOLLOKWIA II ROKU STUDIÓW

Nr	Nazwa przedmiotu	Data	Ocena cyfrowa i słowna	Podpis egzaminatora	Pieczętka Dziekana
1.	Podstawy Marksizmu-Leninizmu	26.I. 1953.	(5) bardzo dobre	Kobylski	

Fot. 8. Indeks autora – kolokwia II roku studiów

UNIwersYTET JAGIELLOŃSKI

Rok akad. 195 2 / 3 00596 *

EGZAMINY II ROKU STUDIÓW

Nr	Nazwa przedmiotu	Data	Ocena cyfrowa i słowna	Podpis egzaminatora	Pieczętka Dziekana
1.	Chemia nieorganiczna	29.I. 53.	(5) bardzo dobry	Wojas	
2.	Podstawy marksizmu-leninizmu	15.VI. 53.	(4) dobre	Kobylski	
3.	Ekonomia polityczna	18.VI. 53.	(3) dostatecz.	Wojas	
4.	Wyszkolenie wojskowe	9.VI. 1953	dostateczny (3)	Wojas	

Fot. 9. Indeks autora – egzaminy II roku studiów

gończym z fotografią, publikowanym w ich policyjnych biuletynach. Matka zasadnie obawiała się wobec siebie odwetowych represji bądź ewentualnego, poprzez pocztę, ujawnienia Niemcom miejsca bytności Ojca. Pan kierownik Michał Wojtaszek bardzo więc pomógł Rodzicom, pozwalając wysłać korespondencję na swój adres. Wyrażam mu za to wdzięczność! Od stycznia 1941 roku szkołę w Przecławiu okupant zamknął, rekwirując budynek dla wojska, zapewne w związku z translokacją armii dla zaatakowania sowieckiego sprzymierzeńca. Dlatego, przez krótki czas, chodziłem wtedy prywatnie na lekcje do pana Michała Wojtaszka, który już poważnie chory, niebawem zmarł. Przy tej okazji jego syn Zdzisław mnie widywał, a może nawet uczył, zapamiętując wadę mojej wymowy, która mnie mu przypominała po dwunastu latach. Korespondencja moich Rodziców urwała się w drugiej połowie 1940 roku po pożarciu Republiki Litewskiej przez Rosję Sowiecką. Ojciec mój tułał się następnie po terenie Wileńszczyzny. Po wkroczeniu w 1941 roku Niemców na Litwę, usunął się na prowincję w powiecie brasławskim. Tam 27 czerwca 1942 roku został zabity strzałem w potylicę, razem z Józefem Łopacińskim, przez ukrywających się wtedy po lasach morderców z sowieckiej partyzantki. Stało się to w miejscowości – majątności Łopacińskiego – Ustroń, gdzie Ojciec chwilowo przebywał. Majątek leżał na skraju, rozciągającego się pomiędzy Woropajewem i Brasławiem, ogromnego leśnego kompleksu o powierzchni ponad 100 000 ha. Ojca pochowano w miejscowości Borodzienicze. Byłem tam raz, siedemnaście lat później, w lipcu 1959 roku.

Towarzyski wieczorek i szopka

Pomyślany jako impreza rozrywkowa całego II roku, we czwartek 11 grudnia 1952 roku, odbył się głównie za sprawą Klubu Kotów i także w świetlicy II DA, wieczorek z kukielkową szopką. Zaprezentowano w niej kukielki niektórych kolegów, którzy zyskali popularność swoim wyglądem, zachowaniami bądź innymi dającymi się skarykaturować osobistymi cechami. Kukielki śpiewały stosowne, zabawne teksty. Całość była wielce dowcipna i udana. Przedstawienie rozpoczynała, wykonywana doskonale przez Staszka Kuśmierczyka, świetna piosenka, parodiująca problemy analityki tlenu, przedstawiająca w nieco złośliwym, krzywym zwierciadle naszych partyjnych asystentów, magistrów Krawca i Weźranowskiego. Ułożono ją na melodię szlagieru – samby: „Gdy w Montanie, pod Sombremem”. A zaczynała się tak:

Raz zamienił się tlen w tlenek,
Ot, zwyczajna rzecz.
Więc się zdziwił halogenek,
Rzekł Wysoki „precz”!
Tlen nam robi tutaj kawały,
Wyrzucimy z analizy tlen cały!
Halogenek, haloo Gienek!
Trzeba by wynaleźć reakcję na tlen.
Halogenek, halo Gienek... ...?

Dalej fragment, zapomnianej już, piosenki nawiązywał do odpowiedzi jednego z partyjnych asystentów na zapytanie dociekliwych studentów, jak Johannes van der Waals doszedł do sformułowania równania stanu gazów rzeczywistych. Pytający dowiedzieli się, że „myślał, myślał, aż wymyślił”. No i:

Myślał, myślał, aż wymyślił,
 Całą kupę bzdur!
 Zresztą dobrze tylko przyślij,
 Clapeyrona wzór...

.....?

Myślał, myślał i wymyślił,
 Reakcję na tlenek...?

Tak się kończy wielka z tlenem afera,
 Szopka teraz inny temat obiera.

Także i mnie, autorowi wspomnień, przydarzyło się wystąpienie jako kukielka w tej szopce. Zapowiadał mi to wcześniej Andrzej Fuliński. Na wykładzie ekonomii politycznej, a może na wojskowym szkoleniu ideologiczno-politycznym, na którym z ust niedokształconego prelegenta-agitatora słyszeliśmy o imperialistycznych, zbrodniczych knowaniach „busimanów z wal stret”, zajmowaliśmy się ciekawszymi sprawami, jak gra w okręty lub koleżeńskie żarty i przekomarzania. Z ławki do ławki podawaliśmy sobie liściki. Przy jakiejś wzajemnej prześmiewce Andrzej, mający przydomki Czarnego z powodu ciemnej karnacji bruneta, bądź Kota z racji noszenia okularów i nieznacznego mrużenia oczu, przesłał mi na świstku wiadomość:

Głupi Szczypiórku! Gdybyś cicho siedział,
 Nigdy by się Klub Kotów o tobie nie zwiędział.
 Żyłbyś życiem anielskim, sielskim i spokojnym,
 a tak będziesz w szopce; sam chciałeś tej wojny!

Klub Kotów *FuLa*

Mającym ilustrować moją młodzieńczą „zieloność” przydomkiem Szczypiórek, który przylgnął do mnie w trakcie całych studiów i także po dyplomie, Andrzej Fuliński wraz z Alą Kosińską i Zosią Wilczewską ochrzczili mnie w trakcie jednego z pierwszych wykładów fizyki, z którego prof. Janik omal nie wyrzucił mnie za drzwi audytorium. Przydomek spontanicznie „chwycił”. Ja podobno odwzajemniłem się Andrzejowi, wymyślając z kolei jego Kota, od którego powstało potem miano dla całego klubu.

Tak więc, zgodnie z Andrzejową zapowiedzią, moja przystrojona aż do stóp w kapтурzastą pelerynkę kukielka, wystąpiła w szopce. Istotnie chodziłem wtedy w długiej do ziemi, brezentowej pelerynie, danej mi przez Mamę z jej inkasenckich przydziałów odzieży. Chroniła doskonale przed chłodem i ulewnym deszczem. Swoją kukielkową piosenkę śpiewałem na melodię popularnego przeboju „Małe mieszkanko na Mariensztacie” Szpilmana. Pozostały mi w pamięci tylko strzępy tekstu:

Na technologię chemiczną chodzę
 I na fizyce znam się też,
 Jakoś to wszystko z mym czasem godzę,

A następnie gwałtownie rozglądałem się za towarzyszką życia, jakoś tak:

Choć szukam żony wzdłuż i wszerz.

.....

Ach gdzie ma żona, ta upragniona

Tak wymarzona... gdzież ona, ach!

.....

Kobieto, zjaw się, wyjść za mnie chciej!

Z tą technologią to mi kochany Klub Kotów wymiauczał, oj wymiauczał całe późniejsze moje zawodowe życie, choć zdecydowanie chciałem obrać kierunek bardziej podstawowy. Żonę, cudowną i mądrą, też znalazłem, ale dziewięć lat potem. Na razie nie miałem żadnej trwale wielbionej dziewczyny, gdzie mi tam zresztą było do tego w warunkach, w jakich się znajdowałem i przy „mieszkaniowej banicji” na Zakrzówku. Możliwe, że nie zdając sobie sprawy z moich tarapatów i zahamowań, przemiłe klubowe koleżanki chciały mi zwrócić uwagę, nie bez kozery, na tę piękniejszą i miłszą stronę życia. Nie wiem, czy tak było, może sobie pochlebiam? Sama piosenka była jednak świetna i śmiałem się sam z siebie do łez. Jedynie ta „technologia” troszkę mi nie pasowała.

Wtedy jesienią 1952 roku widoczna już była serdeczna wzajemna sympatia Marysi Kolankowskiej i Olka Szczodrego, stanowili rzeczywiście nierozłączną parę i wszyscy o tym wiedzieli. Nie uszło to uwadze spostrzegawczych Kotów! No i kukielki ich obojga znalazły się w szopce, śpiewając, bodaj na melodię „Umarł Maciek, umarł”, zabawną duecik:

.....

Z Kolankowską się zadawał,

Ta go wykończyła.

I choć brata ma lekarza,

Ziemia go przykryła.

.....

Zmartwychwstałeś Olku!

O! Jakżem też rada!

A skoro tak, to kończyli licznymi pocałunkami. Było to wesołe i dowcipne. Jednak w tamtych czasach publiczne całowanie się nie było w zwyczaju, więc pokazanie tego na scenie nieco krępowało skromną, uważającą Marysię, która zeżłona, troszkę się „miotła”.

W szopce występowały także kukielkowe postaci innych osób. Po zakończeniu przedstawienia nasz kolega, cieszyńnianin Staszek Hławiczka usiadł do znajdującego się w świetlicy fortepianu i choć instrument był rozstrojony, zagrał na nim pięknie niektóre utwory Chopina i jeszcze któregoś z wielkich kompozytorów. Oprócz nauki w liceum ogólnokształcącym, Staszek miał za sobą także kilka lat nauki w klasie fortepianu średniej szkoły muzycznej, którą ukończył już po studiach chemii.

5 marca 1953 roku

Po Bożym Narodzeniu, egzaminach i przerwie semestralnej studia trwały nadal. Wieczorem 4 marca 1953 roku nasza kawalerska grupka spotkała się na najwyższym balkonie, tzw. jaskółce Teatru Słowackiego, na spektaklu „Ślubów panieńskich” Fredry, w którym rolę Albina grał Stanisław Zaczyk, moim zdaniem nawet zbyt płacźliwie. Już

po podniesieniu kurtyny dołączył do nas trochę spóźniony i podniecony Adam Hamerski. Odciągnął mnie po ciemku na bok i z entuzjazmem oznajmił półgłosem: „Józek wyciąga kopyta!”. Kto, jaki Józek? Będąc na przedstawieniu, nie całkiem „kontaktowałem”. „Jak to, nie rozumiesz? Stalin! Zobaczysz, jak się teraz to wszystko z hukiem zacznie walić”. Adaś tryskał radosnym optymizmem. Jak wiemy, tak jednak nie było i przyszło długo jeszcze czekać, choć przecież się doczekaliśmy! Lecz wysłuchana z BBC i przyniesiona przez Adama wiadomość istotnie była nieoczekiwana i wspaniała. Następnego dnia, w czwartek, mieliśmy studium wojskowe. Objuczeni bronią przemaszerowaliśmy rano sprzed Collegium Novum przez całe miasto i na rozmokłych pagórkach Pasternika koło Bronowic ćwiczyliśmy jakieś tam ataki czy obronę. W przerwie zajęć instruujący oficerowie skupili się nad gazetą i z należytym z troskaniem odczytywali oficjalny komunikat o stanie zdrowia generalissimusa. Mimo że był zredagowany jak najogólniej, czytający wyczuwali, że jest źle i dawali temu wyraz w wymienianych między sobą, ostrożnie formułowanych komentarzach. Otaczając ich, słuchaliśmy, a „serca nam rosły”. No i wieczorem, 5 marca Stalin zmarł. Zapanowała – zadekretowana – „wielka żałoba”, dla niektórych prawdziwa, ale dla przeważającej części świadomego, polskiego społeczeństwa, wręcz radosna! Następnego dnia rano mieliśmy wykład chemii organicznej prof. Moszewa. Do audytorium przyszło kilkoro kolegów w zetempowskich strojach z czerwonymi krawatami. Jedna z koleżanek demonstracyjnie przepasała krawat szeroką, czarną aksamitką. Rubaszny, łobuzerski lwowiak Adam Hamerski złośliwie zapytał ją, a może tylko sugerował, aby spytać, czy także włożyła czarną bieliznę. Jak tam ostatecznie było, dziś już nie pamiętam. Natomiast Adasiowe odżywki stonowałem nieco, metodą przetłumaczenia *merde* Cambronne’a, jako „gwardia umiera, lecz nie poddaje się”. Chyba jeszcze w tym samym dniu zgromadzono w holu collegium *in corpore* studentów chemii na żałobną masówkę. W jakimś momencie należało stanąć w powadze na baczność, a nam trudno było powstrzymać objawy radości.

Jednak w poniedziałek 9 marca Adaś Sekułowicz przyjechał ze swego domu w Katowicach w wisielczo złym humorze, stwierdzając, że nie wiedział dotychczas, iż urodził się i mieszka w Stalinogrodzie. Jak wiadomo, dwa dni wcześniej rada miejska Katowic spontanicznie wyraziła życzenie przemianowania ich miasta na Stalinogród dla uczczenia „wielkiego człowieka”. W 1956 roku, w niedzielę wieczorem 21 października na dworcu głównym w Warszawie z radością usłyszałem przez głośniki, jak zapowiadająca pociągi samorzutnie wróciła do nazwy Katowice.

W wierszu pt. „Moja przekora” Marian Hemar w tymże 1956 roku o Stalinie tak pisał:

On był winą ustroju,
Co w sobie logicznie mieści
Możliwość takiej zbrodni
Bezkarnej, przez lat trzydzieści.

Przyjaciele i wspólne przeżycia

Od początku studiów mocno i trwale zaprzyjaźniłem się z Jurkiem Słoczyńskim, synem pani Marii, wdowy po zamordowanym przez Niemców podczas powstania warszawskiego inż. Feliksie Słoczyńskim, wielce cenionym przez zwierzchników, a szanowanym i lubianym przez podwładnych kierownika – dyrektora technicznym Portu

Czerniakowskiego na Wiśle. Tragedia wydarzyła się 16 września po upadku dzielnicy, w ramach eksterminacji wysiedlanej z niej cywilnej ludności, zwłaszcza mężczyzn. Poszukiwanego za udział w powstańczej konspiracji inżyniera Słoczyńskiego niemieccy oprawcy wyciągnęli z kolumny wygnańców i wraz z innymi, podobnymi mu patriotami, niezwłocznie rozstrzelali koło budynku kantyny w koszarach stacjonującego przed wojną na Czerniakowie Pierwszego Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego.

Pani Słoczyńska razem ze starszą córką Hala i synem Jurkiem zajmowała dwupokojowe mieszkanie przy ulicy Szczepańskiej, z oknami wychodzącymi na ul. Jagiellońską, vis-à-vis Starego Teatru. Po odebraniu im przez kwaterunek drugiego pokoju, egzystowali w jednym pokoju, w ciasnocie i bardzo skromnych warunkach. Mimo tego wszyscy byliśmy w tej rodzinie traktowani i przyjmowani zawsze z wielką, najserdeczniejszą gościnnością. Ja zawdzięczam im szczególnie wiele. Także i to, że w trudnych sytuacjach mego bytowania w Krakowie pp. Słoczyńscy udzielali mi kilkakrotnie gościny z nocowaniem nawet przez dłuższy czas włącznie. Panią Marię Słoczyńską uważam za swoją dobrodziejkę. Aby utrzymać siebie i dorastające dzieci, ciężko pracowała, przepisując na maszynie całymi dniami teksty dla potrzeb duszpasterstwa krakowskiej archidiecezji. Hala, starsza siostra Jurka, była pełną charme'u, nadzwyczaj miłą i dobrą, dorosłą już dziewczyną. I ona także pomagała w utrzymywaniu rodziny pisanie na maszynie. Jurek zarabiał udzielaniem licznych korepetycji z przedmiotów ścisłych – matematyki, fizyki i chemii.

Drugim moim serdecznym przyjacielem z Klubu Kawalerów stał się Janek Czapkiewicz. Dojeżdżał z Wieliczki, w której mieszkał z rodzicami, pp. Felicią i Józefem Czapkiewiczami oraz dwiema prześlicznymi siostrami, starszą Halszką – studentką medycyny i Marysią, wówczas jeszcze podlotkiem. Wyróżniała go, bardzo rzadka wówczas, biegła znajomość języka angielskiego, nabyta dzięki bytności całej rodziny podczas wojny w Palestynie, w której uczęszczał do szkoły z angielskim językiem wykładowym. Stało się tak dlatego, że ojciec Janka, pan Józef Czapkiewicz, był kierownikiem szkoły w Środzie Wielkopolskiej. Po wybuchu wojny w 1939 roku, wobec zagrożenia frontowego i osobistego ze strony Niemców, pan Czapkiewicz zabrał na motocykl DKW 250 cm³ żonę oraz wówczas jeszcze dwoje dzieci i tak uchodzili przed agresorami coraz dalej, aż oparli się na Bliskim Wschodzie. Stamtąd powrócili do Polski. Dom Janka był przyjazny i gościnny. Bywaliśmy do niego okazjonalnie przez gospodarzy zapraszani. Pamiętam, z pewnością z niemałym wysiłkiem przez rodziców Janka zorganizowane, miłe młodzieżowe przyjęcie, którego ozdobę stanowiły obie panny.

Bogusław Śliwa mieszkał z matką i ciocią przy ul. Sienkiewicza. Boguś doskonale się uczył, dając pierwszeństwo szczególnie chemii nieorganicznej. Nie jestem jednak całkiem pewien, czy studiując chemię, nie minął się z aktorskim powołaniem. Dzięki ogromnemu zmysłowi humoru, prawdziwej *vis comica*, mimiką, gestami i wypowiedzeniami wydobywał ze zdarzeń i sytuacji ich komiczne aspekty, rozładowując napięcie również w dramatycznych okolicznościach. Bywało tak m.in. na szkoleniu wojskowym. Boguś parodiował wypowiedzi ponurego, nieomal sadystycznego kierownika Studium Wojskowego płk Peste, np. parafrazując jeden z wierszy mickiewiczowskiej ballady *Alpuhara* w *Konradzie Wallenrodzie* o śmierci z powodu dżumy w odniesieniu do wojny, do której nas wtedy niewątpliwie szykowano, że „wy tak będziecie umierać”. Ów wojskowy, zwany przez nas złośliwie pułkownikiem Dżumą (po francusku właśnie *la peste*), na widok naszych łachmanów drelichowych, utyłanych w błocie i przechodnich kombinezonów beszał ze złością wyciągniętego z szeregu, „nędznego” i wylęknionego delikwenta, cedząc przez zęby „gdzie wasza żołnierska smykałka, czy ja mam wam założyć fabrykę szlufek i guzi-



Fot. 10. Przyjęcie imieninowe w domu Jerzego Słoczyńskiego 23 kwietnia 1953 roku; stoją od lewej Marian Kęgel i Bogusław Śliwa, siedzą Adam Hamerski, Zofia Starkówna, Adam Sekułowicz, Ewa Zajacówna, solenizant i Hanka Lotzówna

ków?”. Podpadnięcia szefowi studium groziły nawet relegowaniem z uczelni. Mawialiśmy więc między sobą o „Uniwersytecie Jagiellońskim przy Studium Wojskowym”. W jego ramach oprócz zwykłych zajęć wymagano także regulaminowej, całodobowej służby wartowniczej przy pomieszczeniach biurowych i magazynach dydaktycznego sprzętu i broni, oczywiście w każdych warunkach pogodowych. Pamiętam taką wartę w nocy i w strugach ulewnego deszczu na zapleczu Collegium Novum przy ul. Jagiellońskiej, w pobliżu stojącej tam figury Matki Bożej. Przy takiej okazji spotkało mnie jedno z przykrzejszych przeżyć studenckich. Mianowicie jako dowódca warty otrzymałem informację o śmierci ojca jednego z podległych mi kolegów-wartowników i musiałem go o tym powiadomić. Był studentem kierunku humanistycznego, więc go bliżej nie znałem. Starłem się uczynić to jak najdelikatniej, ale nie wiem, czy mi się udało.

W towarzystwie Bogusia i jeszcze innych kolegów zdarzył mi się, najprawdopodobniej jesienią 1953 roku lub w roku następnym, znamienity wypadek. W kwesturze Collegium Novum odbieraliśmy stypendia. Tam podszedł do nas wynędzniały mężczyzna i poprosił o wsparcie finansowe, mówiąc, że świeżo został zwolniony z więzienia i nie ma żadnych środków do życia. Gdy mu dałem pieniężną zapomogę, najzupełniej niespodziewanie, zanim zorientowałem się, co robi, pocałował mnie w rękę, po czym zaraz się oddalił. Byłem tym bardzo zażenowany. Jestem przekonany, że w ten sposób szukał pomocy jakiś z represjonowanych przez komunistyczną władzę ludową więźniów politycznych, których po śmierci sowieckiego zbrodniarza zaczęto zwalniać z więzień i pozostawiać własnemu losowi, jednocześnie uniemożliwiając zatrudnienie w państwowych przedsiębiorstwach, gdy innych praktycznie przecież już nie było. Oprócz samego zachowania tego biedaka moje przypuszczenie potwierdzałaby okoliczność, że w opisywanym czasie nie występowało zawodowe żebractwo powodowane np. nałogami.

Innym serdecznie zaprzyjaźnionym moim kolegą był Zdzisław Szegłowski z Tarnowa. Podczas I roku studiów mieszkaliśmy w II Domu Akademickim, przy tym samym korytarzu w nieodległych pokojach. Oprócz studiowania chemii Zdzich pasjonował się elektroniką, naprawiał radia i w akademiku miał oczywiście własny aparat. Był też zapalonym fotoamatorem. Gdy zamieszkałem na Zakrzówku, a potem prywatnie, nasz kontakt stał się luźniejszy. Jednak znowu zeszedłszy się na IV roku studiów, podczas pi-

sania prac magisterskich z chemii fizycznej oraz razem rozpoczęliśmy pracę zawodową. Na zajęciach studium wojskowego przytrafiła się Zdzychowi humorystyczna przygoda. Za jakąś niesubordynację szkolący oficer beszał Szegłowskiego i zagroził odebraniem stypendium. Gdy ten wyjaśnił, że stypendium nie pobiera, usłyszał oficerską ripostę: „to my wam przyznamy i odbierzemy”. Zdzych, ogromne chłopisko, był też „ścichapęk”, powiedziałbym wańkowiczowskiem (*vide* „Szczenięcie lata”), kawalarzem. Kiedyś przybytemu do nas z toruńskiego UMK koledze Frydolinowi Szkatule odstąpił żarówkę do podczerwieni, do ogrzewania kurników, jako lampę ultrafioletową. Frydolin zamykał się w pokoju w akademiku i wystawiał tors na ową podczerwień, a później wszyscy wtajemniczeni pokrzykiwali: „Aleś ty Frydolin opalony!”. Ta farsa trwała kilka dni.

Innym moim dobrym kolegą był, interesujący się także chemią nieorganiczną, Władysław Piekarczyk.

Duszpasterstwo akademickie

W trakcie naszych studiów nie było mowy o czynnym duszpasterstwie akademickim. Pod tym względem byliśmy zdani wyłącznie na siebie i swoje wybory. Ja, niejako z definicji, wybrałem akademicki kościół, kolegiatę św. Anny. Także i dlatego, że jego proboszczem był sędziwy ks. prałat Rudolf Van Roy, przed 1918 roku katecheta mojej Matki w krakowskim Zakładzie Wychowawczym ss. Urszulanek. Był to człowiek wielkiego formatu, kaleki z protezą zamiast jednej nogi. I tak w roku akademickim 1951/1952 i następnych chodziłem w niedziele na msze św. do tego kościoła. Jednym z kaznodziejów kościoła św. Anny był w tym czasie ksiądz Władysław Sadowski, niewysoki człowiek, o charakterystycznym, bardzo skupionym wyrazie twarzy. Wygłaszał wielce przekonujące i trafiające jednocześnie do serca kazania, mówiąc dobitnie, lecz bez oratorskich efektów. Był też mądrym i bardzo pomocnym spowiednikiem. Zawdzięczam mu szczególnie wiele w tym ogólnie dramatycznym i osobiście także dla mnie trudnym okresie. Nigdy w życiu nie widziałem podczas konsekracji u kapłana takiej wewnętrznej, ujawniającej się poprzez twarz, koncentracji. Zauważałem ją bezpośrednio w trakcie odprawiania przez księdza mszy św., stając z boku znajdującej się w Kościele Akademickim konfesji mego patrona św. Jana z Kęt. Ksiądz Sadowski około 1955 roku niestety zachorował na białaczkę i zmarł 29 marca 1956 roku. Była to wielka strata. Od samego księdza dowiedziałem się, że po ukończeniu szkoły podchorążych piechoty był oficerem rezerwy Wojska Polskiego. Zaś od profesora Adama Bielańskiego uzyskałem po latach informacje, że przed wojną w latach 1933–1939 Władysław Sadowski był świeckim pracownikiem administracyjnym Krakowskiej Kurii Metropolitalnej Księcia Arcybiskupa Adama Sapiechy. Uczestniczył w kampanii wrześniowej. Potem we Francji w formowanym w obozie Coëtquidan Wojsku Polskim został przydzielony do Brygady Podhalańskiej, w której odbył kampanię norweską, wyróżniając się wybitnym osobistym męstwem w bitwie o Narwik. Po upadku Francji usiłował bez powodzenia przedostać się do Anglii, za co był więziony. Zwolniony, w nieokupowanej części Francji w Alby wstąpił do seminarium duchownego, przyjął święcenia i już jako kapłan powrócił po wojnie do Polski. Innymi akademickimi, wielkich zalet księżmi w tamtym czasie byli także Kazimierz Suder i Józef Sykulski.

Po śmierci w 1954 roku księdza Van Roya wakujące przez pewien czas z powodu stawianych przez władze przeszkód, probostwo św. Anny objął w styczniu 1957 roku

duszpasterz akademicki ksiądz Jan Pietraszko. Dotychczas był on prefektem – wychowawcą kleryków w Krakowskim Seminarium, istniejącym już oddzielnie po wyrzuceniu Wydziału Teologicznego przez komunistyczny reżim z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Był on kapłanem i kapelanem akademickim najwyższego formatu. Po śmiertelnym zachorowaniu księdza Władysława Sadowskiego oddałem się pod duchową opiekę księdza Pietraszki, również jako spowiednika i trwało to do mego wyjazdu z Krakowa w 1957 roku. Nie mogę przecenić ani oddziaływania Jego własnej osobowości, ani wszelkiego dobra otrzymanego od Niego po odejściu w 1955 roku księdza Sadowskiego. W czasie ostatnich lat mojej bytności w Krakowie uczestniczyłem w prowadzonej przez Marię Władyczankę jednej z nieformalnych grup duszpasterskich ks. Pietraszki, spotykającej się bądź w mieszkaniach, bądź w plenerze, a także w apartamentach probostwa św. Anny. Te formy duszpasterskiej działalności ks. Jana Pietraszki, jak i poszczególne zdarzenia, pięknie i bardziej szczegółowo zrelacjonowali ich animatorzy i uczestnicy w książce *Śladami Sługi Bożego Biskupa Jana Pietraszki*². Wiadomo, że angażowanie się osób w młodzieżowe życie religijne powodowało dotkliwe szkany. Mnie, jako szeregowego uczestnika akademickiego duszpasterstwa, to jednak nigdy nie spotkało.

W tych latach, po odprawianych przez ks. Pietraszkę w kolegiacie św. Anny o godzinie 10 niedzielnych mszach św., najczęściej przy lewym wyjściu świątyni i na schodach poniżej, widywałem grupę akademików wesoło skupiającą się wokół, powiedziałbym promiennego, wysokiego, postawnego blondyna i często towarzyszącej mu drobnej, czarnookiej brunetki. W radosnym zamieszaniu i gwarze najwyraźniej umawiali się na spotkania, wycieczki itp. Był to Jerzy Ciesielski wraz z przyszłą żoną Danutą Plebańczyk. Tak ich zapamiętałem, choć nigdy nie poznałem osobiście.

Już po wyjeździe z Krakowa, w latach 1958–1964 zdarzyło mi się trzykrotnie zetknąć z biskupem, a potem arcybiskupem Karolem Wojtyłą. Ten ogromny zaszczyt spotkał tak licznych, że bez podejrzenia o megalomanię nie zasługiwałby na opowiedzenie, gdyby nie to, że z każdego z tych spotkań zapamiętałem pojedynczą, znaczącą cechę osobowości i intelektu przyszłego papieża.

Po niedzielnej mszy św. 26 października 1958 roku, na schodach kościoła św. Anny moi kuzynostwo, Teresa i Zdzisław Heydlowie, zaprosili mnie na przechadzkę Błoniami w rejon wzgórz otaczających kopiec Kościuszki w koleżeńskim gronie z udziałem młodego ks. biskupa Wojtyły. Zauważyłem, że biskup Wojtyła przede wszystkim przysłuchuje się prowadzonym rozmowom i tylko z rzadka wypowiada się w istotnych momentach na ważne tematy.

Ze ślubu Teresy Heydlówny z Michałem Zyczkowskim 4 kwietnia 1959 roku zapamiętałem, że ks. biskup Wojtyła, błogosławiąc ich związek, w przemówieniu do państwa młodych zalecał praktykowanie przez małżonków wspólnej, codziennej modlitwy. Natomiast uczestnicząc w weselu, okazał się bystrym obserwatorem. W krótkiej ze mną rozmowie, na podstawie dyskretnie poczynionych spostrzeżeń mego zachowania, zachęcał, abym starał się bardziej udzielać towarzysko. Było to całkowicie trafne. Wprawdzie byłem już wtedy gościem spoza Krakowa i wielu uczestników wesela nie znałem, ale zwykle w towarzystwie bywam skrupowany.

Odbywając w Krakowie szkolenie wojskowe, w pierwszej połowie marca 1964 roku, popołudniami na przepustce chodziłem w mundurze podporucznika WP na akademickie rekolekcje w kolegiacie św. Anny. Wieczorem w sobotę 14 marca rekolekcje zamykało kazanie – nauka ks. arcybiskupa metropolity Karola Wojtyły. Po zakończeniu mszy

² Wydawnictwo Czuwajny, Kraków 2000.

św. w zakrystii kościoła zostałem przez ks. biskupa Jana Pietraszkę przedstawiony ks. arcybiskupowi Wojtyłe, który ogromnie się ucieszył widokiem rekolekcjanta w oficerskim mundurze. Na moją uwagę, że jestem tylko rezerwistą, odpowiedział, że to nie ma znaczenia, że ważna jest obecność na rekolekcjach umundurowanego żołnierza WP. Ta radość ks. arcybiskupa była spowodowana bez wątpienia Jego osobistą cziłą i umiłowaniem Polskiego Wojska, którego oficerem był przecież Karol Wojtyła – ojciec.

I już III rok studiów

Na III roku studiów kierownik katedry prof. dr Jan Moszew kontynuował, kończony egzaminem, kurs chemii organicznej w bardzo usystematyzowanych wykładach. W czasie, gdy studiowaliśmy, wszystkie chemiczne obliczenia, np. na ćwiczeniach, wykonywało się „na piechotę” i ułatwiał je bardzo rachunek logarytmiczny. Z tego powodu, rozpoczynając wykład, prof. Moszew z wielką powagą, powiedziałbym z namaszczeniem, zachęcał słuchaczy do nauczania się działań na logarytmach, „jeżeli ktoś tego jeszcze nie potrafi”. Suwak logarytmiczny, zwłaszcza dobry, był wtedy cenną rzadkością, a kalkulatorów z jakimi mamy do czynienia dzisiaj nikt, nawet w najśmielszych marzeniach, jeszcze w ogóle sobie nie wyobrażał.

Mieliśmy jednocześnie ćwiczenia preparatyki z chemii organicznej. Kierowniczką zespołu asystenckiego dla tych zajęć była doc. dr Jadwiga Schönówna. Zapisła się ona w mojej pamięci jako surowy i bardzo wymagający, a więc wzbudzający wśród studentów nawet strach, pedagog. Gdy spostrzegła niedbale zestawioną aparaturę do wykonania preparatywnego zadania, wpadała w nieukrywaną irytację, ostro besztła ćwiczącego, każąc wszystko rozebrać i zmontować porządnie na nowo. W sposób surowy sprawiedliwa, nie była złośliwa i odnosiła się do studiujących z widoczną życzliwością. Była po prostu dobrym, zaangażowanym pedagogiem. Podlegający jej zespół dyżurujących na salach ćwiczeń asystentów, przeważnie pań, traktujących nas mniej surowo, nadzorował przeprowadzanie przez studiujących preparatyk związków organicznych. Jedną z asystentek była mgr Wanda Żankowska, późniejsza profesor, zmarła w lutym 2002 roku.

Wykonane preparaty zsypywano do przeznaczonych na nie słoików, przechowywanych na sali w wielkiej oszklonej i zamykanej gablocie. Zdarzało się jednak, że wezwani np. do profesora dyżurni asystenci wychodzili z sali, zaniedbując zamknięcie szafy z preparatami. Wtedy, zwłaszcza niektórzy przedsiębiorczy studenci wystawiali czujki przy drzwiach i odsypywali z pojemników otrzymane do wykonania preparaty, które następnie oddawali jako zadanie. Między sobą, ten nieco łajdacki proceder, nazywaliśmy „preparatyką metodą doktora cycka”. W ten sposób „spreparowano” np. wiele naftolu.

Na III roku studiów, obok kursu oraz ćwiczeń preparatyki z chemii organicznej rozpoczęły się wykłady i ćwiczenia z chemii fizycznej w kierowanej przez prof. dr. Bogdana Kamińskiego Katedrze Chemii Fizycznej i Elektrochemii. Profesor wykłady scedował na niezwykle zdolnego i pracowitego entuzjastę przedmiotu Andrzeja Pomianowskiego, wówczas jeszcze magistra. Wykładał on doskonale i z wielkim zaangażowaniem, a jego pasja udzielała się słuchaczom. Pewnego razu skłoniło mnie to do wyrażenia głośno uwagi, że aby być słuchanym i zrozumianym przez audytorium, trzeba rzecz wygłaszać „namiętnie”. Tej mojej wypowiedzi nie omieszkala potem wyśmiać Ewa Zającówna.

Prowadzonymi przez zespół asystentów laboratoryjnymi ćwiczeniami z chemii fizycznej kierowała pani dr Janina Janikowa. Ćwiczenia rachunkowe z przedmiotu odby-

wał z nami pan dr Boleśław Waligóra. Kurs chemii fizycznej kończył egzamin przed mgr. Andrzejem Pomianowskim.

Podczas VI semestru prof. Feliks Polak w mocno intensywnym i skondensowanym kursie wykładał nam technologię chemiczną. Tę wiedzę uzupełniały letnie, miesięczne praktyki przemysłowe. Specjalnie postarałem się o odbywanie mojej praktyki w fabryce amoniaku i nawozów azotowych w Mościcach, wówczas Zakładach Przemysłu Azotowego im. Feliksa Dzierżyńskiego w Tarnowie-Świerczkowie. Wiele się na tej praktyce nauczyłem i poczyniłem ciekawe spostrzeżenia na temat pracy w przemyśle.

Pod koniec III roku studiów rozstrzygnęła się dla nas sprawa ich trwania. Rozpoczynaliśmy je z perspektywą studiów dwustopniowych: podstawowych trzyletnich i następnie po zakwalifikowaniu dodatkowo dwuletnich, magisterskich. Potem była mowa o jednolitych pięcioletnich, ostatecznie okazało się, że dla wszystkich będą trwały cztery lata. Oznaczało to zmniejszenie zakresu uzyskanej wiedzy.

Zarabkowanie korepetycjami i życie

W drugiej połowie studiów, korzystając z lepszych warunków zamieszkania i dzięki pomocy bardzo w to wciągniętego Jurka Słoczyńskiego, zacząłem zarabiać udzielaniem korepetycji uczniom szkół średnich, zwłaszcza z matematyki, bo na ten przedmiot było największe zapotrzebowanie. Tych lekcji, na które dojeżdżałem do biorących korepetycje uczniów, o ile pamiętam miewałem trzy do pięciu godzin tygodniowo. Za godzinę lekcyjną pobierałem około 10 zł. Zarobki te, razem z otrzymywanym stypendium, zapewniały finansowanie studiów i zakupów książek, zwłaszcza pod kątem moich przyszłych zamierzeń zawodowych. Wydaje się, że w tym czasie już nie musiałem otrzymywać pieniędzy od Matki.

Poprawiło się bardzo moje odżywianie. Korzystając z życzliwości gospodarzy pp. Karnickich, śniadania i kolacje przygotowywałem i jadałem w kuchni obok mojego pokoju. Ich podstawę stanowiły tanie produkty: chleb, często razowy Steinmetza, najtańsze tzw. niebieskie masło, cukier, dżemy – zwłaszcza doskonały śliwkowy, najczęściej topione sery, tłuszczyki jajek po obniżonej cenie, mleko, płatki owsiane, makaron nitki z zasmażką pomidorową z przecierów. Wędlin było mało, dopiero później pojawiła się zdobywana w kolejkach w Delikatesach u Hawelki kielbasa myśliwska. Oprócz żywienia się na kwaterze, ranne i wieczorne posiłki jadałem okazynie w barach mlecznych. Z końcem II semestru, od połowy maja 1952 roku, dyrektor Zakładu w Krzeszowicach Władysław Śmiałek załatwił mi darmowe południowe posiłki w krakowskim domu dziecka na odległej ul. Piekarskiej. Korzystałem z nich przejściowo, tylko do zakończenia roku akademickiego. Później przez krótki czas, dzięki rekomendacji wybitnego olkuskiego lekarza Wacława Kalisty, jadałem obiady w krakowskim Zakładzie Helclów. Następnie, dzięki staraniom Matki Jurka Słoczyńskiego, stołowaliśmy się przez około dwa lata na ulicy Smoleńsk 4 w prowadzonej przez ss. felicjanki sławnej kuchni studenckiej im. siostry Samueli. Z powodu szykan komunistycznego reżimu nie mogła ona funkcjonować jako przedsięwzięcie zakonne i nosić imienia założycielki – s. Samueli Piksy (1849–1938), aby nie świadczyć o społecznej, charytatywnej funkcji Kościoła katolickiego w Polsce. Siostry felicjanki musiały więc używać nazwy Stołówka „CARITAS”, jako ówczesnej, wyrwanej Kościołowi i kierowanej przez totalitarną władzę laickiej organizacji. Pracownicami kuchni były oczywiście zakonnice, które wykonywały pracę jak najlepiej,

w miarę możliwości starając się o wysoką jakość i smak posiłków. Obiady kosztowały 4 zł i były lepsze niż w innych stołówkach. Tam, gdzie się dało, ujawniano bądź podkreślano religijną proveniencję i charakter działalności. Czyniono to np. przy okazji świąt, zapraszając pozostających w Krakowie zamiejscowych stołowników na uroczyste posiłki. Na Wielkanoc 1955 roku przed dyplomem nie pojechałem do domu, więc na imienne zaproszenie uczestniczyłem w Wielką Sobotę 9 kwietnia w specjalnie wydanym święcym obiedzie. Dla uświetnienia przyjęcia ss. felicjanki zaprosiły jako gości księdza dr. Tadeusza Kruszyńskiego, profesora historii sztuki kościelnej Krakowskiego Seminarium Duchownego, który poświęcił przygotowany przez siostrę kierowniczkę posiłek, podany na ustawionych w podkowę i ozdobionych kwiatami stołach.

Końcowy IV rok studiów

Końcowy, IV rok studiów przeznaczono na specjalizację i wykonanie pracy magisterskiej. Do połowy roku mieliśmy jeszcze ćwiczenia i egzamin u prof. Feliksa Polaka z technologii chemicznej. Tak samo trwały zajęcia i końcowy sprawdzian z wyszkolenia wojskowego, którego można było nie zdać, stawiając pod znakiem zapytania ukończenie studiów.

Stosownie do zainteresowań, uzdolnień i wyobrażeń na temat przyszłości zawodowej wybieraliśmy sobie kierunki specjalizacji. Środowisko moich kolegów i przyjaciół podzieliło się następująco:

- chemia nieorganiczna – Adam Hamerski, Marian Kegel, Maria Kolankowska, Alina Kosińska, Adam Sekułowicz, Aleksander Szczodry, Bogusław Śliwa, Zofia Wilczewska;

- chemia organiczna – Jan Czapkiewicz, Alina Gilewiczówna, Stanisław Hławiczka, Anna Lotzówna, Ala Matraszkówna, Maria Niessnerówna, Barbara Stasiakówna, Halina Stojakowska;

- technologia chemiczna – Henryk Chojnacki, Aleksandra Karoń, Teodora Oszczytko, Maria Rastica, Anna Romaniec;

- chemia fizyczna – Stanisław Kuśmierczyk, Marian Lodowski, Janina Pawlikowska, Jan Perkowski, Zofia Starkówna, Zdzisław Szegłowski, Ewa Zajácówna oraz w Katedrze Chemii Ogólnej prof. Zapióra – Władysław Pickarczyk, Maria Sajdakówna, Ryszard Sitko i Danuta Stankiewiczówna;

- chemia teoretyczna – Andrzej Barański, Andrzej Fuliński, Jerzy Słoczyński.

Wymienione osoby stanowią około 35% ogółu magistrantów z naszego roku chemii. Nie potrafię wskazać innych kolegów, którzy specjalizowali się w zakresie technologii chemicznej.

Na chemii fizycznej słuchaliśmy monograficznego wykładu prof. Kamieńskiego z przedmiotu oraz mieliśmy konwersatorium, na którym magistranci prezentowali podstawy wiedzy z danego zagadnienia i postępy wykonywanej pracy. Powierzonym mi przez profesora tematem pracy magisterskiej było „Wyznaczanie izoterm adsorpcji niektórych kwasów organicznych na węglu metodą potencjometryczną w warunkach dynamicznych”. Moim bezpośrednim opiekunem został dr Bolesław Waligóra. Praca opierała się na wykorzystaniu stosowania metodyki pomiarów stężeń substancji w roztworach za pomocą mikroogniw metalowo-kalomelowych konstrukcji prof. Kamieńskiego. Na konwersatorium, które odbyło się 31 grudnia 1954 roku, prezentowałem słuchaczom wiadomości o adsorpcji i jej teoretycznych aspektach. Swoim zwyczajem traktowałem rzecz gruntownie i zbyt obszernie. Więc obecna na tym konwersatorium Ewka Zajácówna natychmiast zareagowała puszczonej wśród słuchaczy z profesorem włącznie, i gdy

wszyscy się już nacieszyli, w końcu mnie podanym, humorystycznym wierszykiem „Do referenta”:

O Szczypiórze! Nie nudź dłużej,
Bo choć mówisz tak namiętnie,
To przeciwne jest naturze,
Aby w dzień zasypiać smętnie.
Wiem, żeś młodym jest uczonym,
Z Gibbem „na ty” i z Langmuirem,
Wiem żeś książkę przeczytał tomy,
Ale ja już ledwie żyję!!!

No i znowu była doskonała zabawa. Widać nie miałem szczęścia do wygłaszania referatów. Ale też było to zaledwie na kilka godzin przed wieczorem sylwestrowym, który mile spędziłem u rodziny Jurka Słoczyńskiego. Dopiero tego dnia, po niemal czteroletniej bliskiej znajomości, zaczęliśmy mówić sobie z siostrą Jurka Halą per ty. W epoce naszych studiów bezpośredniość w osobistych kontaktach wymagała dużo dłuższej znajomości niż to jest obecnie przyjęte.

Zdając sobie sprawę z zawężenia programu wykształcenia podczas czteroletnich studiów, w których nie było już, jak to miało wcześniej miejsce, dodatkowych kursów matematyki i teoretycznej fizyki, próbowaliśmy w koleżeńskim gronie (Barański, Fuliński, Pawlikowska, Perkowski, Słoczyński, Zającówna) w samokształceniowym kółku uzupełnić nasz warsztat matematyczny. Odbiliśmy kilka spotkań, na których jako prelegenci wykładaliśmy sobie nieprzerabiane dotychczas zagadnienia matematyki wyższej. Mnie przypadło zreferowanie całek wielokrotnych, co zresztą przekraczało moje możliwości. I było to chyba nasze ostatnie spotkanie, bo przedsięwzięcie okazało się jednak zbyt ambitne, a i czasu na to nam brakowało.

Po zdaniu końcowego egzaminu z wykształcenia wojskowego, a następnie z technologii chemicznej, od połowy stycznia 1955 roku intensywnie przystąpiłem do wykonania części doświadczalnej pracy magisterskiej. Dr Waligóra z pełnym zaangażowaniem i życzliwością kierował mną i pomagał mi. Mimo prowadzenia żmudnych i czasochłonnych pomiarów praca biegła pomyślnie.

Mgr Andrzej Pomianowski z właściwym sobie entuzjazmem kierował wykonaniem prac magisterskich Staszka Kuśmierczyka, Janki Pawlikowskiej, Zosi Starkówny, Zdzicha Szegłowskiego i Ewy Zającówny. Ich tematem były elektroforeza, zjawiska i substancje w procesie flotacji galeny oraz elektroniczne pomiary napięć siły elektromotorycznej ogniw chemicznych. W zakresie wzbogacania rud konstruowano z celuloidowych płyt miniatury przemysłowych aparatów flotacyjnych.

W 1954 roku przeniósł się ostatecznie z Wrocławia do Krakowa prof. Kazimierz Gumiński, stwarzając na Uniwersytecie Jagiellońskim pierwszą w Polsce Katedrę Chemii Teoretycznej. Dzięki temu wymienieni koledzy zostali w niej magistrantami, podejmując m.in. badania nad termodyfuzją. Dla nich prof. Gumiński miał monograficzny wykład, na który jako wolny słuchacz uczęszczałem. Jego wykłady wszystkich nas zdumiewały i zachwycały jasnością oraz sposobem ujmowania i interpretowania poszczególnych zagadnień. Na przykład wykład termodynamiki fenomenologicznej prof. Gumiński oparł na wykorzystaniu równań Pfaffa i twierdzeniu greckiego matematyka Caratheodory’ego. Chodziłem także na monograficzny wykład prof. Jakóba o związkach kompleksowych dla magistrantów chemii nieorganicznej. W VII semestrze studiów wraz z Aliną Kosińską

i Józefem Krzeczkiem odbyłem w starszych klasach jednego z krakowskich liceów krótką praktykę nauczania chemii z ćwiczeniami polegającymi na samodzielnym prowadzeniu lekcji na zadany temat.

Widmo powołania do zawodowej służby wojskowej

Początek 1955 roku był już zapowiedzią zbliżającego się zakończenie studiów. Najpierw w niedzielę 9 stycznia wezwano nas do Studium Wojskowego i polecono odręcznie wypełnić sążniste, bodaj szesnastostronicowe ankiety personalne, zawierające 35 pytań z najszczególowszymi podpunktami, m.in. o przedwojenną przynależność polityczną, np. do „Ozonu”, i inne. Wydawało się, że chodzi o kończące się wykształcenie wojskowe i promocje na stopnie oficerskie. Jednak niektórzy z kolegów przebąkiwali, że wskazuje to na ewentualność powołania nas po studiach do zawodowej służby wojskowej jako chemików. Tak było w istocie. Mnie i moich podlegających szkoleniu wojskowemu kolegów wezwano 18 lutego do WKR na indywidualne rozmowy kwalifikacyjne, mające określić naszą przydatność do służby w Ludowym Wojsku Polskim, także, a może przede wszystkim w politycznym aspekcie. Wyglądało to niedobrze. Miałem zamiar pracować naukowo, a w każdym razie nie chciałem służyć w wojsku sowieckiego Układu Warszawskiego. Tak samo myślała większość moich kolegów. Przed wyjściem na tę rozmowę byłem zdenerwowany i zwierzyłem się z tego memu gospodarzowi, panu Ludwikowi Karnickiemu. Był on żołnierzem WP bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku, a może i wcześniej. W życiu także z niejednego pieca chleb jadł. Poradził mi, abym w trakcie indagacji wyrażał się niejasno, kluczył, pozostawiał odpowiedzi niedopowiedziane, wreszcie zagrał ukrywającego coś cymbała, oświadczając na zadane pytanie np. „musiałbym się mamy spytać”. Prowadzący ze mną rozmowę, o ile pamiętam wojskowy funkcjonariusz w cywilu, zapytał mnie najpierw o zawodowe zamiary po ukończeniu studiów. Usłyszał, że moim powołaniem i jedynym pragnieniem jest praca naukowa. Potem z kolei padło pytanie „a co byście powiedzieli, gdyby wypadło wam zostać i pracować w wojsku?” No więc elokwentnie starałem się przekonywać interlokutora, że nie chcę, nie mogę, nie nadaję się... Wysłuchał tego, zapewne ze znudzeniem i ironią, jak wyklepanej lekcji. Ale przeglądając ową wielką ankietę personalną i życiorys, zainteresował się informacją, że mój Ojciec do 1939 roku był państwowym urzędnikiem w Komisariacie Generalnym RP w WM Gdańsku. W istocie od początku 1937 roku pełnił on funkcję I zastępcy ówczesnego Komisarza Generalnego RP Mariana Chodackiego. Padło więc pytanie: „wiecie może, czy ojciec chodził w mundurze czy w cywilu?” Odpowiedziałem, że byłem dzieckiem i nie pamiętam, ale chyba, co było zgodne z prawdą, w cywilu. I dosłownie według rady pana Karnickiego – „ale musiałbym się zresztą o to mamy spytać”. Na tym rozmowa się skończyła. Przebieg analogicznych rozmów z innymi kolegami był podobny. Każdy radził sobie, jak umiał. Małomówny Maniek Kegel przyznał się nam, że na kwestię o służbę wojskową odpowiedział stwierdzeniem, iż wojsko traktuje na równi z więzieniem. Oświadczenie to spowodowało gwałtowną reakcję pytającego urzędnika. Następnie od 16 do 18 marca poddano nas wojskowym badaniom lekarskim. Wszystko to potwierdzało realną możliwość sprawdzenia się przy puszczeniu o wcieleniu nas po studiach *volens nolens* do wojska. Na razie jednak sprawa pozornie ustała lub toczyła się w ukryciu.

Sprawy pracy – zostaję asystentem

Nieco później niż pierwszy zwiastun poboru do wojska, bo 22 stycznia, mnie, Jance Pawlikowskiej i Zdzichowi Szegłowskiemu, dzięki rekomendacjom dr. Waligóry i mgr. Pomianowskiego jako naszych naukowych opiekunów, prof. Kamiński zaproponował przyjęcie na asystenturę do kierowanego przez siebie Zakładu Fizykochemii Zjawisk Powierzchniowych Instytutu Chemii Fizycznej PAN. Stosowne papiery złożyliśmy 24 stycznia. Natomiast w połowie marca złożyłem w Rektoracie UJ podanie o przyjęcie na studia aspiranckie w zakresie chemii fizycznej. W ten sposób starałem się uchronić przed skierowaniem, obowiązującym wtedy kończących studia nakazem pracy, w przypadkowe i niechciane przeze mnie miejsce zatrudnienia.

3 maja od dr. Bolesława Waligóry dowiedziałem się, że od 1 kwietnia zostałem przyjęty do pracy jako asystent w tutejszym Zakładzie PAN. Było to niewątpliwie jego zastępą i żywię do dzisiaj dla mego opiekuna, obecnie już profesora na emeryturze, serdeczną wdzięczność. Przyjęci do tej pracy zostali także moi koledzy – Janka i Zdzich. Musieliśmy jeszcze załatwić w Komisji Przydziału Pracy dla absolwentów naszego wydziału, u jej przewodniczącego, astronoma prof. Kozieła, zmianę postanowionego już skierowania do wyznaczonej pracy. Udało się to i otrzymałem, obowiązujący od 1 czerwca z mocą na trzy lata, nakaz pracy w Zakładzie Fizykochemii Zjawisk Powierzchniowych. Te nakazy determinowały dalsze losy absolwentów. Dlatego niektórzy decydowali się na zawarcie małżeństw, ponieważ było to przy kierowaniu do pracy respektowane. Z tego powodu ja i Janek Czapkiewicz 30 maja mieliśmy zaszczyt i przyjemność być świadkami w krakowskim Urzędzie Miejskim na cywilnym ślubie naszych przyjaciół Marysi Kolankowskiej z Olkiem Szczodrym. Żadnego weselnego akcentu po nim nie było, tylko na propozycję Janka Czapkiewicza wstąpiliśmy na chwilę do pobliskiego kościoła oo. Franciszkanów pomodlić się w intencji nowożeńców, po czym państwo młodzi i my dwaj po prostu pożegnaliśmy się i rozstali. Mój przyjaciel Heniek Chojnacki dostał skierowanie do pracy w Zakładach Przemysłu Gipsowego „Dolina Nidy” w Pińczowie. W fabrycznym reżimie wytrzymał tylko niewiele dni. Następnie, po kilkutygodniowej przerwie nawiązał korespondencję z prof. Krzysztofem Pigoniem z ówczesnej Katedry Chemii Fizycznej Politechniki Wrocławskiej. Przeniósł się i od roku 1955 pracuje tam do dziś, aktualnie jako profesor w Instytucie Chemii Fizycznej i Teoretycznej PW, w obecnej kadencji na stanowisku jego dyrektora.

Egzamin dyplomowy

Moja praca magisterska postępowiała pod życzliwym kierownictwem dr. Waligóry. W maju pokończyłem pomiary, opracowałem wyniki i napisałem trudno czytelny brulion. Z początkiem czerwca pracę bezpłatnie przepisała na maszynie z największą starannością i cierpliwością przedobra Hala Słoczyńska, przy czym wiele fragmentów musiałem jej dyktować z powodu cytowań licznych wzorów i nieczytelności mojego rękopisu. Sprawdzoną przez dr. Waligórę pracę oddałem do akceptacji prof. Kamińskiemu. Komisyjny egzamin magisterski zdawałem w czwartek 23 czerwca. Gdy w korytarzu Katedry Chemii Fizycznej oczekiwałem w napięciu na zaproszenie do sali egzaminacyjnej, podeszła do mnie Terenia Heydlówna, wówczas już od roku asystentka na chemii organicznej, i aby dodać mi otuchy, powiedziała, że wie o bar-

dzo pozytywnej ocenie mojej pracy. Było to z jej strony wielce miłe i pokrzepiające. Egzamin dyplomowy zdałem z wynikiem bardzo dobrym. Miałem wtedy ukończone 20 lat, 9 miesięcy i 10 dni.

Następnego dnia wybrałem się do Olkusza, żeby zawiadomić Mamę o zdanym egzaminie i zakończeniu studiów, podzielić się radością i podziękować Jej za wszystko. Jadąc autobusem Wyżyną Jerzmanowicką nad Ojcowem, mimo wielkich zalet mojej Matki, myślałem jednak intensywnie o tym, że nie dane mi jest dzielić się tym sukcesem z Ojcem. Dziwna doprawdy jest psychika człowieka. Od Mamy, mimo Jej ubóstwa, dostałem w prezencie wspaniały francuski zegarek *Herma*, chronometr ten służył mi przez 45 lat, zanim wyparł go z użycia nowoczesny czasomierz elektroniczny. Z racji ukończenia studiów mój wuj Edward Janczewski, profesor geofizyki na AGH, wręczył mi 200 zł, a gdy się broniłem, powiedział „przecież nie masz nikogo innego, kto mógłby ci dać”. Na tym nie był koniec z nagrodami. Od Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Teodora Marchlewskiego otrzymałem, datowany 1 października 1955 roku, dyplom uznania za „chlubne ukończenie studiów” i jako wyraz tego bon książkowy na 40 zł. Kupiłem opowieść *Okrutne morze* Nicholasa Monsarrata, będącą podstawą scenariusza zachwycającego mnie filmu. Całkiem niespodziewanie spotkał mnie też zaszczyt wygłoszenia pożegnalnego przemówienia na zorganizowanym w ostatniej dekadzie czerwca końcowym zgromadzeniu absolwentów chemii, tych którzy rozpoczęli studia w latach 1950 i 1951. Ponieważ wypadło mi wystąpić *ad hoc* bez przygotowania, moja wypowiedź była dosyć sztaprowa, co z żalem wspominam.

Po egzaminach magisterskich, w lipcu 1955 roku dopełniliśmy jeszcze studenckie szkolenie wojskowe miesięcznymi ćwiczeniami na poligonie koło Końskich. Bywało, że obok normalnych uciążliwych ćwiczeń musieliśmy znosić (jako ogół) jeszcze złośliwe szykany. Stosowano także polityczny, psychiczny terror, np. czasowe izolowanie niektórych spośród nas od reszty kolegów, nocne indagacje itp. Między innymi pamiętam dumną pogardę, jaką okazywał Jerzy Słoczyński, niewybrednie i zastraszająco besztany przed frontem naszej studenckiej kompanii przez dowodzącego kpt. Bigosińskiego za jakąś niepokorną odzywkę. Któregoś dnia ćwiczeń staliśmy na zbiórce w dwuszeręgu wzdłuż obozowej drogi. Byliśmy zmęczeni, obłoceni i mokrzy po forsowaniu w pełnym rynsztunku przecinającej łąkę rzeczutki Drzewiczki, pod komendą kapitana, który sam przechodząc kładką, zwałił się z niej do wody, ku naszej wielkiej ucieście. Nagle drogą pędzi jeep, a w nim, na tylnym siedzeniu, w pozie wizytującego naczelnego wodza, Piotr Skrzynecki. I jeszcze macha do nas swoim słomkowym kapeluszem! Powitaliśmy go z wielkim aplauzem, a on zachowywał się jak „cysorz” na paradzie wojskowej. Była to uciechowa, pokrzepiająca farsa. Piotra znaliśmy, ponieważ podczas studiów migał się od uczęszczania na zajęcia ze studium wojskowego z własnym kursem polonistyki i potem często musiał je odrabiać, m.in. w naszej grupie mat-fiz-chem. Także i tym razem nie przyjechał na obóz do Końskich, jak my wszyscy w wagonie towarowym, lecz sprowokował dowiezienie go „ciupasem” w samochodzie przez żandarmerię.

Jesienią 1955 roku wojskową edukację zakończyło, odbywające się na Błoniach, paradne nominowanie nas na ówczesnie najniższe stopnie oficerskie, chorążych rezerwy.

Statystyczne spojrzenie wstecz

Nasze studia trwały cztery lata, ale efektywny czas nauki wynosił dokładnie tylko trzy lata. Charakteryzowało je przesycenie programu nauczania przedmiotami i ćwiczeniami polityczno-doktrynalnymi, zupełnie nieadekwatnymi do obranego kierunku studiów. Mężczyźni dodatkowo byli obarczeni obowiązkowym kursem studium wojskowego. W ciągu ośmiu semestrów efektywnych zajęć dydaktycznych, liczących 15–16 tygodni, wysłuchaliśmy 15 wykładów z nauczanych przedmiotów. Z nich 67% było kompatybilne z wybranym kierunkiem studiów, reszta była narzuconym przez komunistyczny reżim, nieużytecznym obciążeniem, jak np. podstawy marksizmu-leninizmu. Łączny czas wykładów wynosił około 1225 godzin, z tego na zbędny balast przypadło pod względem czasu mniej, bo 25% liczby godzin wykładów. Odnośnie do ćwiczeń z 19 przedmiotów te proporcje przedstawiały się nieznacznie lepiej. Mianowicie odpowiednio około 74% przedmiotów i 80% poświęconego na nie czasu (z około 3225 godzin), przypadło na zajęcia *par excellence* zawodowe. Mężczyznom około 14% dydaktycznego czasu ćwiczeń pochłonęło szkolenie wojskowe, zajmujące co drugi tydzień dwunastogodzinny dzień, plus egzaminy semestralne i roczne. Polityczne szkolenia na tym studium były całkiem idiotyczne. Wszystko to stanowiło udrękę, zmniejszającą nasze zawodowe wykształcenie i nic a nic z tego w głowie, przynajmniej mnie, nie zostało. Właściwie nie jest to warte nawet tej wzmianki. W trakcie studiów mężczyźni zdali 4 semestralne kolokwia i 19 egzaminów przedmiotowych. Z tego jedno kolokwium i 9 (47,4%) egzaminów nie miało związku z kierunkiem studiów. Do przedmiotów związanych ze studiami zaliczyłem także metodykę nauczania chemii oraz obowiązkowe zaliczenie co najmniej jednego języka obcego. Świadczy to o znaczącym uszczupleniu możliwej do otrzymania i wyniesienia ze studiów wiedzy zawodowej. Wyłożono nam tylko główne przedmioty chemii, ale nie było już miejsca np. na biochemię. Program nauczania matematyki był niewystarczający. Odbijało się to niekorzystnie w nauce przedmiotów, dla których zrozumienia jej odpowiednia znajomość jest absolutnie konieczna. Stanowczo zbyt mało było ćwiczeń rachunkowych, np. z chemii fizycznej w jednym semestrze zaledwie około 30 godzin. Czas i realia powojennego dziesięciolecia uniemożliwiły także lepsze nauczanie i opanowanie znanych wtedy instrumentalnych metod badawczych chemii i fizyki. Powstawanie i znaczenie nowych metod subtelnych badań spektroskopowych prof. Gumiński sygnalizował dopiero w monograficznym wykładzie w roku 1954/1955 dla ówczesnych magistrantów utworzonej Katedry Chemii Teoretycznej. Nauczanie i stosowanie tych metod było dopiero sprawą przyszłych dekad i technicznych możliwości, początkowo najczęściej osiągalnych tylko za granicą.

Byliśmy jednak bardzo zaangażowanymi i pilnymi studentami, skoro w tak krótkim czasie i często w bardzo trudnych warunkach osobistych opanowywaliśmy wykładane nam, istotne dla wybranego przez nas kierunku przedmioty. Oprócz nauki musieliśmy przecież samodzielnie organizować sobie życie, zarabialiśmy np. udzielaniem licznych korepetycji, korzystaliśmy z dóbr kultury, może niezbyt często, ale także bawiliśmy się i *last but not least* kochaliśmy. Także i Tę, o której Artur Oppman napisał, że „kochą się mocniej, choć inaczej”. Widać z tego, jak niesłychane są witalność i dynamizm młodości.

O naszym zaangażowaniu naukowym świadczy także i to, że spośród kończących w 1955 roku studia moich kolegów 10 osób zostało profesorami bądź co najmniej uzyskało stopnie doktorów habilitowanych.

Pierwsza praca zawodowa i trochę na wesoło warunki bytowe

Właściwie dopiero po powrocie z wojskowych ćwiczeń rozpocząłem swoją pracę asystenta w placówce naukowej, która nie prowadziła zajęć dydaktycznych. W kierowanym przez prof. Kamińskiego mieszanym zespole Katedry UJ i Zakładu PAN, oprócz Andrzeja Pomianowskiego i Bolesława Waligóry, była zawsze życzliwa i uśmiechnięta doktor Janina Janikowa, i dr Gerard Pytasz oraz ze stopniami magistrów Janina Chojnacka, Janusz Gołdyn, Zofia Görlichowa, Janina Krukówna, Irena i Jan Kulawikowie, Janina Mazurówna, Janka Pawlikowska, aspirant Janusz Pawełek i Zdzich Szegłowski. Stanowiliśmy grupę ambitnych i wzajemnie sobie bardzo życzliwych ludzi. Jednak już wtedy spostrzegłem, że rozpoczynanie pracy naukowej bez zajęć dydaktycznych ze studentami nie jest jednak dla młodego kandydata nauk wskazane i korzystne. Szczególnie odnosiło się to do mnie, po tak krótkich i niepełnych studiach. Osobiste prowadzenie nauczania umożliwia syntetyczne widzenie całości danego przedmiotu i nie pozwala na zasklepienie się w jego wąskim wycinku, a także oczywiście zmusza do opanowania, utrwalenia i pogłębiania nabytej dotychczas wiedzy. Uważam, że każdy początkujący pracownik naukowy powinien przejść przez długi etap pracy dydaktycznej, zanim ewentualnie wycofa się z nauczania na rzecz pracy wyłącznie badawczej i organizacyjnej. Za poprawnością tej drogi przemawia właściwie całe doświadczenie wyższego kształcenia.

Nie pamiętam, co było tematem mojej pierwszej zawodowej pracy i nie przypominam sobie kontaktów w tej sprawie bezpośrednio z profesorem Kamińskim, który nie przejawiał większego zainteresowania świeżym asystenckim narybkiem. Nie miała miejsca żadna rozmowa z profesorem ani też zlecenie bądź sugestia opracowywania jakiegoś problemu. Oczywiście interesował się moimi czynnościami dr Waligóra, lecz robił to dyskretnie i nie narzucał swojej opieki. Być może celowo pozostawiono mnie samego, aby sprawdzić, co naprawdę jestem wart i co potrafię. Zajmowałem się jakimiś sprawami oczyszczania czy wydzielania substancji z roztworów przez dializę i elektrodializę i nie bardzo sobie z tym radziłem. Nie było dobrze.

Mieszkałem nadal na swojej studenckiej stacji i byłem tam na stałe zameldowany. Było to istotne, ponieważ wtedy obowiązywał już zakaz meldowania nowych mieszkańców w mieście. Pracując w Krakowie, pragnąłem i uznawałem za swoją powinność uzyskanie mieszkania dla siebie wraz z Mamą i bratem. Nie było wtedy innej drogi jak staranie przez urząd kwaterunkowy, działający w warunkach kolosalnego deficytu mieszkaniowego i wpływu na decyzje odgórnych poleceń oraz trendów polityki ludnościowej. Spółdzielni mieszkaniowych nie było, a nawet gdyby były, nie było nas stać na wkład początkowy i raty budowlane. Według angażu z 28 kwietnia 1955 roku moja pensja brutto wynosiła 920 zł. Realnie rzecz biorąc, sytuacja była beznadziejna. Właśnie wtedy 22 października 1955 roku, kierując się swoimi potrzebami, pp. Karnicy wypowiedzieli mi to moje małe mieszkanie. Nie było rady, uznałem, że trzeba być przyzwoitym i się wynosić. Uczyniłem to 5 listopada, wynegocjowawszy pozostanie nadal zameldowanym w ich mieszkaniu. Byłem bezdomny. Zupełnie nie pamiętam, gdzie wtedy zacząłem nocować. Najpierw, prawdopodobnie przez około miesiąc sypiałem przygarnięty przez pp. Słoczyńskich w ich jednopokojowym mieszkaniu. Jurek przeżywał swój osobisty dramat. Został w październiku wcielony bezterminowo do wojska, bez możliwości apelacji ani perspektywy demobilizacji, bo nie istniała, a nawet gdyby, nie byłaby respek-



Fot. 12. Jan Perkowski, Wanda Hejmo i Zdzisław Łużny 10 lat po studiach na spotkaniu w zamku w Pieskowej Skale podczas zjazdu absolwentów sekcji Chemii Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1965 roku

towana żadna w tej sprawie pragmatyka służbowa. Matka Jurka czyniła wszelkie możliwe, lecz oczywiście bezskuteczne starania o jego wyreklamowanie. Tak to wtedy było. Jurek z wojska został zwolniony dopiero w październiku 1957 roku. Temu poborowi podlegli liczni inni koledzy, także Pawlus i Piekarczyk. Alfabetycznie byłem między nimi. Dlaczego mnie nie wcielono? Przypuszczam, że zadziałała ta moja, celowo głupkowata, odpowiedź w rozmowie kwalifikacyjnej. Dla ignoranckich a podejrzliwych politycznych urzędników wojskowych mogło wyglądać to tak: „...on coś ukrywa. Ojciec był funkcjonariuszem policji – bo komisariat – to przecież policja, nie chodził w mundurze, a więc tajniak, albo gorzej, pracownik II Oddziału Sztabu WP, czyli wywiadu wojskowego niepodległej Polski. Nie, nie nadaje się do służby w LWP”. Przypuszczam, że to jakoś tak było i dzięki temu uniknąłem poboru do wojska.

Moja sytuacja osobista była jednak fatalna, choć z formalnego punktu widzenia uważałem ją za korzystną, ponieważ wobec urzędu kwaterunkowego stawiała mnie w sytuacji całkowitej bezdomności, co mogłoby uzasadniać przyznanie mieszkania, o które w podaniu wnioskowałem. Jako młody mężczyzna mógłbym znaleźć zapewne inną prywatną kwaterę. Jednak nie czyniłem takich starań, ponieważ w ubieganiu się o mieszkanie absolutna bezdomność wydawała się jedynym mocnym argumentem. Czy było to realne czy nie, sądziłem, że tylko na to mogę liczyć i to motywowało moje trwanie. Na przełomie 1955/1956 roku zacząłem nocować u mojej owdowiałej podczas wojny ciotki, na stojącej w ciemnym korytarzyku kanapce, w starym, bez wygod mieszkania. Wychodziłem rano i wracałem wieczorem. Tę poniewierkę cierpliwie i dość pogodnie znosiłem przez półtora roku. Warunki nie sprzyjały oczywiście mojemu naukowemu rozwojowi i twórczej pracy zawodowej. Z tego okresu przypominam sobie następujące zdarzenie. Z końcem października 1956 roku, po wizycie u prof. Tadeusza Lehra-

-Splawińskiego w mieszkaniu przy al. Słowackiego 15, odprowadzałem wieczorem prof. Jana Czekanowskiego na ul. Sławkowską do Grand Hotelu, w którym odbywała się jakaś naukowa konferencja. Rozmawialiśmy z profesorem dość głośno, także o sprawach politycznych. Przy wejściu do hotelu natychmiast zwrócili moją uwagę, kręcący się w pobliżu drzwi hotelowych, dość licznie młodzi ludzie. Gdy pożegnałem się z profesorem i odchodziłem, zauważyłem, że jednemu z nich zostałem wskazany przez sprawiającego wrażenie szefa mężczyznę. Facet zaczął iść uparcie moim śladem. Próby zgubienia go nie udawały się i uwolniłem się od natręta dopiero na pustych i ciemnych już Plantach, zwróciwszy się i zdecydowanie podchodząc – niejako nacierając na niego. Wycofał się i przestał za mną podążać. Była to jedyna przeze mnie spostrzeżona próba indywidualnej inwigilacji przez szpicla.

Aby uzupełnić budżet i jednocześnie mieć się gdzie po pracy podziewać, nadal udzielałem wielu korepetycji. Od lutego 1955 roku pomagałem w nauce chemii nadzwyczaj inteligentnej i miłej Ewie Kułakowskiej, której ojciec, polski lotnik, poległ podczas wojny nad Belgią. W czterdzieści pięć lat później pani Ewa Kułakowska-Bojęs została wiceprezydentem Krakowa. Także w 1955 roku zostałem od marca korepetytorem matematyki całej klasy żeńskiego Liceum Pedagogicznego na ul. Skąpczej 16. Trwało to około roku i w tym czasie dziewczęta stały się już maturzystkami. Klasa była liczna, łącznie z trzydziestoma uczniami. Opowiadałem o tym w środowisku przyjaciół. Może nawet strzeliłem liczbę trzydziestu trzech podopiecznych? Przy okazji tych bytności na ul. Skąpczej zachwyciłem się cudem gotyckiej architektury – kościołem pw. św. Katarzyny.

W takich warunkach życiowych upływał mi rok 1956. W tym czasie ja i wiele osób z Instytutu Chemii jadło obiady na ul. Krupniczej w stołówce krakowskiego Technikum Chemicznego. Była ona blisko i przez to dogodna. Prowadził ją zespół młodych kobiet. W pracy codziennie otrzymywaliśmy przydział 0,5 l mleka jako odtrutki przeciw szkodliwym substancjom, zwłaszcza parom rtęci, z którymi się stykaliśmy. Stanowiło ono uzupełnienie moich posiłków, które często jadałem w sali, w której pracowaliśmy wraz z Janką Pawlikowską i Zdlichem Szegłowskim. Niekiedy też sypiałem w pracowni na rzuconych na podłogę fartuchach. Tak dotrwałem do grudnia i w dniu św. Mikołaja znalazłem na swoim miejscu pracy pakiet z kopertą zaadresowaną „mgr Szczypiórek Jaś Perkowski”. Wewnątrz znajdował się wierszyk:

Trzydzieści i trzy – liczba magiczna,
Trzydzieści i trzy, a każda śliczna,
Piękne jak Gracje, jak Odaliski,
Któż to, ach któż to?! To maturzystki!
Myśli ich schodzą na całkiem zły tor,
Kto temu winien?! KOREPETYTOR!

Prowadzona w tym tonie żartobliwa fabuła opowiadała dalej o tym, jak to dbają oraz zabiegają o „winowajcę” i jego kondycję również kucharki w stołówce, zatem i on sam chce zmęźnić – przytyć

..... – więc się odżywia!
I leje w gardło bielutką rzeką,
Smaczne i wonne z przydziału mleko.

To dążenie zamykała komiczna, absurdalna puenta:

Bo trzeba siły, bo trzeba krzepy,
By zadowolić wszystkie kobiety!

Była to radosna farsa z mojego życia, którą bawię się do dziś. O autorstwo podejrzewam mgr Ewkę Zajączownę, choć się do tego wtedy nie przyznawała. Słyszała jednak z pewnością moje enuncjacje o uczeniu całej klasy dorosłych dziewcząt i z właściwym sobie poczuciem humoru wykorzystwała je w karykaturze słownej. Tak przynajmniej uważam.

Kończyły się żarty i trzeba było decydować, co dalej

Kończyły się jednak żarty. Mimo usilnych starań nie widać było szans na pozytywne załatwienie moich potrzeb mieszkaniowych. Nawet audyencja w tej sprawie u samego Rektora Uniwersytetu prof. Teodora Marchlewskiego ich nie zwiększyła. Przystąpienie do powstałej w 1956 roku spółdzielni mieszkaniowej pracowników PAN przekraczało asystenckie możliwości finansowe. W pracy nie uzyskiwałem postępów, czym sprawiłem zawód i kłopoty dr. Waligórze. Przepraszam! Po roku prof. Kamiński zaproponował mi zajęcie się badaniem struktury powierzchni metali przez pomiary potencjałów mikroogniów tworzonych przez mały – prawie punktowy wycinek powierzchni metalicznej w kontakcie z roztworem elektrolitu klucza łączącego to półogniwo metaliczne z elektrodą kalomelową. Należało w układzie współrzędnych prostokątnych przemieszczać po płaszczyźnie metalu o minimalne odcinki miejsca tworzenia metalicznych półogniów i za pomocą zmierzonych wartości potencjałów tych ogniów opisać strukturę badanej powierzchni, konfrontując to z danymi uzyskanymi za pomocą innych metod badań. Mimo że byłem bardzo młody i brakowało mi odpowiednio rozległej wiedzy o strukturalnych badaniach powierzchni metali i ich rozwoju, praca ta wydawała mi się nieperspektywiczna i przyczynkowa. Nawet najmniejsze kroki przemieszczeń tworzonych w ten sposób mikroogniów nie były adekwatne do wymiarów, w których następują zmiany struktury oraz składu w obrębie nawet dużych kryształów metali, jak np. w mosiądzu. Występowały też ściśle techniczne, duże trudności w realizacji tej koncepcji badawczej. Wszystko razem nie przystawało do postępu nowoczesnych metod badań strukturalnych metali i ich powierzchni. Więc moja sytuacja zawodowa rysowała się niekorzystnie. Warunki życiowe miałem zupełnie złe. Prof. Kamiński w ogóle się tym nie interesował. Nie widział potrzeby udzielenia mi choćby moralnego wsparcia i zachęty do wytrwania. A oprócz wybitnej indywidualności naukowej, był on przecież dobrym człowiekiem! Przypuszczam, że mimo na pewno nietatwych doświadczeń własnego życia, nie zaznał nigdy tak krytycznej sytuacji, więc w ogóle nie był w stanie tego sobie uświadomić, zrozumieć. To wszystko spowodowało, że na przełomie listopada i grudnia 1956 roku zdecydowałem o odejściu z Zakładu Fizykochemii i postanowiłem wyjechać z Krakowa, tam gdzie będę mógł dostać możliwie ciekawą pracę oraz otrzymać potrzebne mieszkanie. Zacząłem poszukiwanie takiego pracodawcy. W pierwszym kwartale 1957 roku mój wybór padł na kędzierzyński oddział Instytutu Syntezy Chemicznej w Gliwicach.

W maju tegoż roku przeziębienie i wskutek warunków bytowych wywiązało się z tego zapalenie płuc. Mimo hospitalizacji w Olkuszu pod opieką doskonałego ordynatora dr. Mariana Kiciarskiego i leczenia antybiotykami, choroba doraźnie bardzo podcięła moje siły. Wyzdrowiawszy, 15 czerwca złożyłem wypowiedzenie pracy

w Instytucie Chemii Fizycznej PAN w Warszawie. Z Zakładu Fizykochemii Zjawisk Powierzchniowych odszedłem ostatecznie 15 sierpnia 1957 roku. Mimo wszystko czyliłem to z ciężkim sercem. Na pożegnanie Janka Pawlikowska-Czubakowa wręczyła mi autorską odbitkę publikacji swojej pracy magisterskiej z dziedziny flotacji ze znamionną dedykacją: „Dla rozłąki przyjm ośloidy naszych duchów wzniosłe płody”. Tak zakończył się w moim życiu okres bardzo dynamicznego, młodzieńczego rozwoju intelektualnego 1951–1957, trwający jednak właściwie tylko cztery lata, bo w pozostałych dwóch latach został on mocno ograniczony wskutek mieszkaniowej poniewierki. Czas nauki był stanowczo zbyt krótki. Do dzisiaj odczuwam to jako oderwanie pędu od winorośli, którą intelektualnie stanowi wielodyscyplinarne, naukowe środowisko uniwersyteckie. Po pięćdziesięciu latach nie pozostaje nic innego, jak pochylenie z pokorą głowy wobec wyznaczających bieg życia zdarzeń i okoliczności im towarzyszących.

Wyjazd z Krakowa Instytut w Kędzierzynie i doktorat

Pracę w Instytucie Syntezy Chemicznej w Kędzierzynie (obecnie Instytut Ciężkiej Syntezy Organicznej „Blachownia”) zacząłem 16 sierpnia 1957 roku, z pensją brutto 1200 zł miesięcznie. Tegoż dnia przy okazji zainteresowania działalnością koła PTTK poznałem jego prezeskę, a moją przyszłą żonę Marię Gilewiczównę ze Starego Sambora nad Dniestrem. Po czterech i pół miesiącu otrzymałem w styczniu 1958 roku dwupokojowe mieszkanie komunalne o ówczynie realizowanym standardzie. Niezwłocznie zamieszkaliśmy w nim z Mamą i młodszym bratem, ówczynie studentem Politechniki Warszawskiej. Tak, po 19 latach udało się odbudować, przynajmniej częściowo, i na pewien już tylko czas nasz dom rodzinny, który rozpadł się we wrześniu 1939 roku. Okazało się, że tutaj, na Opolszczyźnie wypadło mi też spędzić całe życie. Przywodzi mi to na myśl słowa pieśni „...Gdzie Odra nasza rzeka, Opole Piasta gród...” napisanej i skomponowanej w 1946 roku przez Józefa Krajewskiego, nauczyciela i wychowawcę mojej żony w klasach licealnych.

Głównym zadaniem mojego instytutu było, oraz jest, opracowywanie technologii i wprowadzanie do produkcji potrzebnych w skali przemysłowej związków bądź ogólniej produktów chemicznych i wyprzedzanie lub przynajmniej podążanie w tych dziedzinach za światowym rozwojem. W ISCh najpierw zajmowałem się analizą i badaniem właściwości syntetycznych środków powierzchniowo czynnych, m.in. alkilobenzosulfonianów, a następnie w ogóle podstawową analizą występujących w opracowaniach instytutu związków organicznych. Następnie od 1960 roku zainteresowałem się i zająłem katalitycznymi procesami utleniania niższych olefin, a zwłaszcza propylenu. Tą drogą można wytwarzać akroleinę, alkohol allilowy i glicerol, kwas akrylowy wraz z estrami i innymi pochodnymi, akrylonitryl jako półprodukt dla włókien sztucznych, termoplastycznych tworzyw i olejoodpornych kauczków, także i tlenek propylenu. W minionym czterdziestoleciu większość wymienionych procesów utleniania przeprowadzało się w układach niejednorodnych w podwyższonej temperaturze wobec wielokładnikowych, tlenkowych katalizatorów, głównie molibdenianowych. Na świecie w skali wielkoprzemysłowej tą metodą produkuje się akroleinę, kwas akrylowy i akrylonitryl. W rezultacie zespołowego wysiłku ICSO opracował porównywalne do poziomu światowego technologie wytwarzania tych związków. Uczestniczyłem czynnie w tych

pracach, zwłaszcza w zakresie opracowywania katalizatorów i ich wytwarzania, w skali przemysłowej również. Głównie aspekty ekonomiki zadecydowały, że polskie opracowania nie zostały niestety zastosowane, przynajmniej dla zaspokojenia krajowych zapotrzebowań na te związki.

Rozprawę pt. „Badania w dziedzinie syntezy akrylonitrylu z propylenu i amoniaku” napisałem pod kierunkiem prof. dr. hab. inż. Mariana Taniewskiego i obroniłem z wyróżnieniem na Wydziale Technologii i Inżynierii Chemicznej na Politechnice Śląskiej 28 listopada 1973 roku. Jej przedmiotem było opracowanie formalnej kinetyki tego procesu syntezy w reaktorze typu Carberry z doskonałym mieszanym wobec heterogenicznego tlenkowego katalizatora bizmutowo-molibdeno-fosforanowego. Na jej podstawie w grudniu 1973 roku otrzymałem stopień doktora nauk technicznych. Potem jeszcze ćwierć wieku pracowałem w ICSO nad wzmiankowanymi zagadnieniami. W styczniu 1998 roku przeszedłem na nieco wcześniejszą emeryturę.

Badawcza praca w instytucie działającym dla przemysłu różniła się istotnie od pracy w instytucie *par excellence* naukowym. Naukowe badania mają na celu przede wszystkim poznanie zjawisk i opisanie ich istoty – jak to się dzieje. Badania przemysłowe koncentrują się wokół pytania – jak to wykorzystać i po co? Odpowiedź na to pytanie potrzebna jest najczęściej szybko i dlatego nie można skupiać się na szczegółach, lecz uzyskiwać całościowy opis zagadnienia w interdyscyplinarnym ujęciu. Jest to także bardzo trudne. Dla urzeczywistnienia aplikacyjnych projektów potrzeba dobrego, wizjonerskiego rozpoznania, lojalnego i szybkiego zespołowego działania pod sprawnym, dynamicznym zarządzaniem i oczywiście koniecznych pieniędzy. Wiele z tych wymogów w Polsce jest nadzwyczaj trudno spełnić. Dlatego mamy mało technologicznych sukcesów. Można się bezskutecznie napracować przez całe życie.

Profesorowie tacy, jak ich zapamiętałem

Podczas odbytych na Uniwersytecie Jagiellońskim studiów chemii kilka osób z grona nauczycieli akademickich zapisało się szczególnie w mojej pamięci. Im poświęcam poniższe notki – obrazki. Są one oczywiście subiektywnym wyborem. Wyniknął on z moich własnych przeżyć i wspomniane przeze mnie postacie należy rozumieć jako *primi inter pares*.

Profesor dr Wiktor Jakób, mimo że nigdy nie widziałem go w uczelnianej gali, najbardziej odpowiadał mojemu wyobrażeniu profesora uniwersytetu. Spośród wszystkich nauczycieli najserdeczniej go wspominam. Ujmował wielką kulturą i szczególną życzliwością dla studentów, ujawnianą m.in. w cierpliwości przy egzaminowaniu. Posiadał wielkie umiejętności dydaktyczne. Był następcą Ignacego Mościckiego na Politechnice Lwowskiej. Jego uprawianą z zamiłowaniem specjalnością była chemia związków kompleksowych. Profesor przeżył osobistą tragedię – śmierć na chorobę nowotworową 22 stycznia 1955 roku syna, także chemika dr. Zbigniewa Jakóba. Mimo tego w kilka lat potem w lecie 1960 roku spotkałem profesora z malutkim plecakiem i w towarzystwie żony w schronisku na Hali Gąsienicowej. Ucieszyłem się niezmiernie, a pan profesor przypominał mnie sobie. Profesor Jakób zmarł 5 lipca 1971 roku. W ówczesnie sygnowanym przez ministra przemysłu chemicznego nekrologu nie znalazła się żadna informacja o pracy i stanowisku Zmarłego na Politechnice Lwowskiej, jako terenie dla komunistycznych rządców Polski niewłaściwym.

W dniu 5 lipca 1971 r. zmarł

dr hab. WIKTOR JAKÓB

emerytowany profesor zwyczajny, b. kierownik Katedry Chemii Nieorganicznej w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, b. kierownik Katedry Chemii Nieorganicznej w Politechnice Śląskiej. Odznaczony Krzyżem Komandorskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi oraz Medalem Polskiego Towarzystwa Chemicznego im. J. Sniadeckiego.

W Zmarłym polski przemysł chemiczny traci wybitnego uczonego, jednego z twórców polskiej szkoły chemii koordynacyjnej, zasłużonego wychowawcę wielu pokoleń młodzieży akademickiej.

MINISTER PRZEMYSŁU CHEMICZNEGO

Fot. 13. Nekrolog śp. prof. dr. Wiktora Jakóba bez żadnej wiadomości o pracy i stanowisku Zmarłego na Politechnice Lwowskiej

Profesor Jadwiga Schön, gdy studiowałem, była jeszcze docentem³. Jej rodzina pochodziła z Żywiecczyny. Niezameężna, była nam bardzo życzliwa i jednocześnie w trosce o nasze dobro mocno wymagająca. Dzięki temu nazywaliśmy ją między sobą Ciocią Schön. Oprócz uczelni widywałem ją na Plantach, przechadzającą się ze swoją matką, staruszką. Była panią trochę staroświecką. Na przykład irytowało ją noszenie przeze mnie już na asystenturze latem dość krótkich spodenek, więc gdy spotykaliśmy się w stołówce na Krupniczej, raz nie wytrzymała i zwróciła się do mnie z zawierającym dezaprobatę uprzejmym pytaniem: „Panie Perkowski, czy nie mógłby pan nosić jeszcze krótszych spodni?”. Wiele lat później nawiązałem korespondencję z będącą już na emeryturze panią profesor i odwiedziłem ją kilkakrotnie w mieszkaniu przy ul. Biskupiej 10. Ostatni raz było to 29 stycznia 1987 roku. W trakcie tej, dość długiej wizyty, pani profesor na moją prośbę wspominała swój udział w nauczaniu Tajnego Uniwersytetu podczas niemieckiej okupacji. Opowiedziała mi także historię skutecznego ukrycia przed zrabowaniem przez Niemców jednego z najcenniejszych eksponatów uniwersyteckiego muzeum – unikatowego, srebrnego globusa z XVI w., zwanego jagiellońskim. Na podstawie podstępnie przed wojną sporządzonych ewidencji muzealnych skarbów w Polsce był on przez niemieckich Raubmuseumswissenschaftlerów usilnie poszukiwany. Globus ukrył laborant Katedry Chemii Organicznej pan Czesław Haliński, najpierw w zakamarku stanowiącego graciarnię pomieszczenia znajdującego się pod pochyłym audytorium w Collegium Chemicum przy ul. Olszewskiego. Następnie, gdy wskutek zajęcia przez Niemców całego budynku, globus mógł być przez nich znaleziony, dr Schönówna wzięła ten zabytek do swego mieszkania przy ul. Biskupiej i pozawijany w papiery przechowywała między rupieciami „o tu, na tej właśnie szafie”. Tam globus przeleżał do zakończenia wojny i dzisiaj stanowi ozdobę Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Collegium Maius. Opowiadając to, profesor Jadwiga Schön miała 90 lat i była samodzielnie żyjącą osobą, do końca w pełni władz umysłowych. Ubolewała tylko, że „wszystko robię trzy razy wolniej niż dawniej”. Zmarła nagle i chyba bez cierpień podczas snu w nocy 23/24

³ Nie została profesorem (przyp. red.).

kwietnia tegoż 1987 roku. Pochowana została na cmentarzu Rakowickim w rodzinnej mogile w alei za kaplicą, bardzo blisko grobowca Jana Matejki.

Prof. Zdzisław Wojtaszek podczas moich studiów był jeszcze doktorem na stanowisku adiunkta. Specjalizował się w kriogenice w Zakładzie Niskich Temperatur UJ. Po przypomnieniu jego ze mną znajomości z 1940/1941 roku darzył mnie życzliwością, choć nie zajmowałem się tą dziedziną. Znajomość nasza jednak się utrzymywała. Podczas ciężkiej zimy 1956 roku dział Administracji UJ zorganizował, bodaj w niedzielę 19 lutego, narciarską wycieczkę pracowników uniwersytetu krytą ciężarówką do Zakopanego. Doktor Wojtaszek, Lusia (Emilia) Hejmo i ja ułożyliśmy inny plan wycieczki. W najwyższym punkcie szosy w Rdzawce za Chabówką wysiedliśmy z zamiarem dojecha na Turbacz i zjechania do Rabki na spotkanie z powracającą wycieczką. Minęliśmy Stare Wierchy i brnęliśmy w śniegu w stronę Turbacza. Zamiar okazał się zbyt ambitny. Wobec tego zaczęliśmy zjeżdżać do Rabki. Pan dr Wojtaszek osłabł i jadąc, padał coraz częściej. Zażywał leki nasercowe. W końcu zdjął narty i zapadając się w śniegu, schodził powoli pod naszą opieką ku Rabce. Ściemniało się coraz bardziej, lecz było już widać światła miejscowości. Na nadrabczańskich grzbietach Górców był zagajnik z przechodzącą przez niego drogą do uzdrowiska. Ja z Lusią objechaliśmy zagajnik z zewnątrz i u jego wylotu oczekiwaliśmy doktora, który nie nadchodził. Już po ciemku i z pomocą zjeżdżającej z Turbacza wycieczki bezskutecznie przeczesałismy dwukrotnie las. Doktor Wojtaszek zniknął. Byliśmy bardzo niespokojni. Jak tylko mogliśmy najszybciej dotarliśmy do rabczańskiego oddziału GOPR i już miała wyruszyć wyprawa na poszukiwanie zaginionego, gdy uzyskano telefoniczną wiadomość, że dr Wojtaszek zszedł najkrótszą drogą na przełaj do Rabki Słonego, jest w schronisku PTTK i dobrze się czuje. Nie doczekawszy się nas w umówionym miejscu, samochód z wycieczką powrócił do Krakowa z wiadomością, że troje uczestników zaginęło. Oczywiście potem wszystko się wyjaśniło.

Profesor Andrzej Pomianowski, gdy wykladał nam na III roku chemię fizyczną, miał jedynie stopień magistra. Zarówno jako wykładowcę, jak i jako pracownika naukowego cechował go rzeczywisty entuzjazm. Prowadząc badania, angażował się w nie całkowicie, narażając nawet własne zdrowie – używał w tej pracy ogromnej ilości rtęci w pomieszczeniu zupełnie do tego nieprzystosowanym. W swoich postawach i postępowaniu był prawy i niekiedy nawet uciążliwie prostolinijny. Nie ułatwiał mu to życia i robienia kariery w najbardziej pozytywnym tego słowa znaczeniu. Jeden ze znajomych (Janusz Pawełek) wyraził się nawet, że doktor Pomianowski „jest właściwie przykładem tego, jak kariery robić nie należy”, bowiem mimo bezspornych osiągnięć naukowych i walorów dydaktycznych bardzo długo nie otrzymywał nominacji na profesora. Jako człowiek bardzo skromny i uczynny, prof. Pomianowski był także człowiekiem żywiołowo wesołym, pełnym poczucia humoru i o wielorakich zainteresowaniach. Czytywał *Dzienniki gwiazdowe* Lema, zaśmiewając się z oczywistych politycznych aluzji do ustrojowej rzeczywistości w Podróży trzynastej o „Swobodnej Rybicy Piny”. Jako zamiłowany fotografik robił piękne zdjęcia, ze szczególnym uwzględnieniem swojej rodziny – urokliwej żony Wandy i małych wtedy córeczek Janusi, Małgosi i Izy. Dla utrzymania bliskich dodatkowo pracował w krakowskim Instytucie Ekspertyz Sądowych. Wspólnie z profesorem jeździliśmy w soboty rowerami do Krzeszowic, gdzie on skręcał do siebie do Tenczynka, a ja jechałem dalej do Olkusza. Wczesnym rankiem w poniedziałki odbywaliśmy razem drogę powrotną. Z upływem lat prof. Pomianowski przeszedł do Instytutu Katalizy i Fizykochemii Powierzchni PAN w Krakowie, a obecnie jest emerytem.

Profesor Kazimierz Gumiński objawił się nam pod koniec studiów jako wspólniały wykładowca wszystkich dyscyplin chemii teoretycznej, której pierwszą w Polsce katedrę właśnie tworzył na Uniwersytecie Jagiellońskim od 1952 roku. Był w tej dziedzinie rozmiłowany, a dzięki temu bardzo kreatywny i skuteczny w działaniu, także organizatorskim. Pomagały mu w tym osobiste cechy, zwłaszcza oczywista, nieprzeciętna inteligencja, jakaś immanentna, pobłyskująca z jego niebieskich oczu życzliwa wesołość i również jakże ludzka, ale na pewno pomocna w rozmaitych, szczególnie organizacyjnych sprawach, ogromna ciekawość nowinek towarzyskich i zawodowych ze wspartym poczuciem humoru. Mówiliśmy więc żartobliwie, że i w tej dziedzinie nie ma on sobie w Collegium Chemicum równego. Nawet układaliśmy według tego kryterium klasyfikację, w której profesor chemii teoretycznej bezspornie plasował się na pierwszym miejscu. Takim zapamiętałem profesora Gumińskiego z krótkiego okresu mojej z nim styczności.

Perspektywiczny skrót półwiecza

Tak upłynęły moje, o skróconym programie, studia i niedługi okres bezpośrednich związków z krakowskim środowiskiem naukowym. Potem nastąpiły żmudne lata zawodowej pracy, niedające już możliwości tak intensywnego intelektualnego rozwoju i niepozwalające też na swobodne dokonywanie wyborów w tym celu. Życie zawodowe i osobiste przebiegało na tle dramatycznych polskich wydarzeń: najpierw, gdy byłem jeszcze w Krakowie, Poznańskiego Czerwca oraz Polskiego Października w 1956 roku, a później następnych wstrząsów i tragedii – Marca 1968, Grudnia 1970, Czerwca 1976. Potem nastąpiło coś nieprzewidywalnego i niesłychanego, obiór w 1978 roku kardynała Karola Wojtyły na papieża i Jego pierwsza w kraju wizyta. W 1980 roku Sierpień na Wybrzeżu, a po półtora roku stan wojenny i ośmioletnie, rzec by można ukryte, organiczne przemiany poczwarki, spowodowały, że w 1989 roku Polska ponownie doszła do suwerenności i niepodległości. Potem upadł ustrój sowiecki i nastąpił rozpad jego imperium. Stało się to, czego podczas naszych studiów w najśmielszych nawet przewidywaniach nie mogliśmy przypuszczać i marzyć, że dożyjemy i zobaczymy! Nieznany dotąd nikomu proces przejścia od wieloletniego zniewolenia narodu totalitarnym komunizmem do demokratycznego sterowania państwem w warunkach realnego świata przebiega także burzliwie i boleśnie. Zmieniają się więc społeczne nastawienia i wybory. Dlatego na zakończenie szczególnie przychodzą mi na myśl wersy z „Kwiatów Polskich”:

Ziemi, gdy z martwych się obudzi
I brzask wolności ją ozłoci,
Daj rządy mądrych, dobrych ludzi,
Mocnych w mądrości i dobroci.

F i a T !

WIECZOREK I ROKU CHEMII UJ W ŚWIETLICY
II DOMU AKADEMICKIEGO KOŁO BŁONI,
3 MAJA 1952 ROKU

R a d a B o g ó w
(Sen Karola Kunza)

OSOBY

<i>Zeus</i>	dr Antoni Pasternak – opiekun I roku chemii
<i>Hermes</i>	mgr Jerzy Dumański
<i>Tow. Apollo</i>	mgr Adam Krawiec
<i>Mały bożek Amor</i>	asyst. Eugeniusz Weźranowski
<i>Prometeusz</i>	mgr Tadeusz Senkowski
<i>Gwiazda</i>	studentka Ala Kosińska
<i>Chór</i>	

MIEJSCE OLIMP

Pracownia asystentów I Zakładu Chemicznego UJ

Zeus: Otwierając zebranie, chcę zaznajomić obecnych z tematem dzisiejszej dyskusji: „Wpływ prac niskotemperaturowców I Zakładu Chemicznego UJ na temperaturę między gwiazdami”. Chciałbym na wstępie zaznajomić obecnych z tym nadzwyczaj ciekawym zagadnieniem.

Chór: Znamy, znamy!

Zeus: Kontynuując pracę zapoczątkowaną przez naszego wielkiego uczonego Olszewskiego, ja jako jego następca jestem bardzo zaniepokojony obniżeniem jej aż poniżej zera absolutnego.

Chór: Genialne, genialne!

Hermes: Sądzę, że można to wytłumaczyć jedynie, stojąc na stanowisku teorii kwantów.

Tow. Apollo: Towarzysze! a mnie się właśnie wydaje, że niepokojącym jest zjawisko przemieszczania się jednej centralnej Gwiazdy naszego firmamentu w kierunku Olimpu. Dzięki dużej sile grawitacji wywieranej przez wyżej wymienioną Gwiazdę na cały Olimp, a przede wszystkim na naszego największego boga Zeusa, uważam, że może dojść do katastrofalnych skutków, to znaczy do jeszcze większej obniżki temperatur. Dziękuję, skończyłem!

Amor: Nawiązując do mojej teorii katalizatorów, uważam, że sprawą tą powinna się zająć cała nasza organizacja.

Zeus: W odpowiedzi na zarzuty moich szanownych kolegów, które nawiasem mówiąc, były bardzo złośliwe, śmiem zauważyć, że tam oprócz wyżej wymienionej Gwiazdy, właściwie nie ma z kim mówić. Powracając jednak do tematu, chcę zwrócić uwagę zebranych, że dzięki moim i Olszewskiego pracom, Zakład Krakowski słynie na cały świat.

Hermes: Zdążyłem to zauważyć podczas moich wielkich wypraw wysokogórskich do Bolechowic.

Amor: Słusznie! A o co chodzi!?

Hermes: Trzeba sprawę poprawnie, naukowo zdefiniować.

Zeus: Wobec tego proszę o zgłaszanie projektów.

Tow. Apollo: Po prostu: „Niskie temperatury jako takie, a jak nie takie, to jakie i dlaczego?”

Hermes: Á propos! Masz Apollo te dwa pięćdziesiąt na „Po prostu” i daj mi święty spokój.

Amor: Słusznie! A ja proponuję... w tej chwili wpada na Olimp Prometeusz.

Prometeusz: Wy tu sobie radzicie, a patrzcie na ziemię!...(Hermes wybiega)
Jeżeli ktoś z was ma dobre oczy, to ... nic nie zobaczy. Noo tak. Ale jeśli ktoś z was ma bardzo dobre oczy, to może coś zobaczy. A mianowicie... wśród Ziemiaków bunt!

Hermes (powracając): Ze szczytów górskich widziałem jakieś zamieszki!

Amor: Słusznie! Jeszcze potłuką wszystkie próbówki!

Zeus: Wiedziałem, że tak będzie! Połowę tych ludzi odesłałbym do wojska, a drugą połowę do kuchni.

Tow. Apollo: Towarzysze! Radźmy, jak zaradzić złemu.

Zeus: Wszyscy za gruszkę ze stężonym amoniakiem i na nich!

Prometeusz: Niestety, już za późno! Oni w tej chwili wysadzają instytut.

Bogowie momentalnie znikają.

Karol Kunz budząc się: Nareszcie się na mnie poznają i dadzą mi katedrę!!!

Napisane 29 kwietnia i 2 maja 1952 roku i opublikowane w księdze Klubu Kotów. Był jeszcze m.in. „Hymn Chemików I roku” i cały program kukiełkowej „Szopki”, także wystawionej w świetlicy II Domu Akademickiego 11 grudnia 1952 roku. Niestety te teksty się nie zachowały.